AS
1939



NA POWITANIE KSIĘCIA KARNAWAŁ

Nr. 1 ★ 1-

19

CENA 40 GROS.

Niech żyje nowy 1939-ty Rok

★

Często życie zmusza nas do licznych kompromisów z sumieniem. Smutne to — prawda — ale tak już jest i wszyscy się do tego przykrego zjawiska przyzwyczailiśmy.

Ale pod koniec ubiegłego roku — zbuntowałem się:

— Jakto? — powiedziałem z oburzeniem, drapiąc się dyskretnie w sumienie, które mnie gryzło. — Czy naprawdę człowiek w tych brzydkich czasach nie może być uczciwy i żyć w zgodzie ze sobą? Ha, zobaczymy! Od Nowego Roku — zmieniam się gruntownie! Skończą się owe małe kłamstewka i spore świństewka! Będę czysty, jak kryształ.

Tak sobie postanowiłem i odrazu spoważniałem. Rozumiałem, że pewnemu człowiekowi obiecałem rzecz trudną i niezwykłą. — A tym człowiekiem byłem — ja...

Moja małżonka nie zauważyła bynajmniej żadnej zmiany we mnie. Wiadomo: kobiety nas nie rozumieją.

Omawialiśmy kwestję najweselszego spędzenia Sylwestra. Moja żona była wesoła, jak wróbelek i właśnie ćwierkała na temat nowego kapelusza.

— Muszę mieć nowy kapelusz — powiedziała pogodnie.

Pomyślałem: do Nowego Roku jestem jeszcze nie odrodzonym, starym łajdakiem. Mogę więc wszystko obiecywać.

— Tak jest, kochanie — odparłem — musisz mieć nowy kapelusz!

— Więc wezmę na kredyt u modystki, jeśli mi przyrzeczesz, że najdalej za tydzień zapłacisz dług. Bo madame Sulpicja oddawna upomina się o jakieś sędziwe sto złotych.

— Doskonale, moje dziecko — odparł nie odrodzony jeszcze cynik. — Powiedz madame Sulpicji, że w pierwszych dniach stycznia reguluję wszystkie długi.

— Czy może otrzymasz trzynastą pensję? — zawołała moja żonusia z nagłem zainteresowaniem.

— Trzynastą? — mruknąłem niedbale. — Ha, nasz szef jest przesądny i uważa, że trzynastka przynosi pecha, więc postanowił dać nam trzynastą i czternastą pensję jednocześnie!...

Małżonka naturalnie uwierzyła, a ja uśmiechałem się — nienaturalnie.

Na Sylwestra poszliśmy do eleganckiej restauracji z dancingiem. Pieniądze na tę hulankę wziąłem od pewnego brodatego, jak dowcip, lichwiarza, któremu dałem słowo, że w najbliższym czasie otrzymuję nagrodę Nobla (mogłem mu dać nie tylko słowo, ale nawet cały słownik, ponieważ wciąż jeszcze było przed Nowym Rokiem!...).

Moja żona wyglądała uroczo — aż rwała oczy. Mnie zresztą nie, gdyż pamiętałem, że niedawno wyrwała mi 200 złotych.

Było dużo znajomych. Wszyscy byli bardzo serdeczni i życzliwi. Życzyli nam tyle dobrego, że gdyby sprawdziło się to chociaż w części — musielibyśmy z żoną żyć przynajmniej po 300 lat i to w charakterze najbogatszych ludzi na świecie.

Ja szafowałem życzeniami na prawo i na lewo, trochę naprzód, trochę wtył. Nastrój stawał się tak ciepły, że musiano nawet przykręcić kaloryfery.

W pewnej chwili natknęliśmy się na mojego kolegę ze szkolnej ławy przysięgłych leniuchów.

— A, jak się masz Waciu! — zawołałem. — Wszystkiego najlepszego życzę, żebyś wygrał miljon!

Wacio uśmiechał się uprzejmie. Nachylił się i szepnął mi na ucho:

— Wolałbym, żebyś mi zwrócił te 100 złotych, które pożyczyłeś dwa lata temu pod słowem do jutra. To byłoby pewniejsze, niż ten iluzoryczny miljon...

— Och, przyjacielu! — odparłem, uderzając się w czoło. — Jakiż ja jestem roztargniony! Naturalnie, naturalnie — jutro przyślę ci przez służącego do domu!

Było dopiero wpół do dwunastej, więc miałem jeszcze pół godziny czasu na skazitelne życie...

Wacio promieniał. Ściskał mi rękę tak silnie, jakby to nie była moja skrajna prawica, lecz tubka z „Kalodontem".

Potem zbliżyliśmy się do doktorostwa Trucicielskich. Doktór Trucicielski był osowiały, jak sęp i zasępiony, jak sowa. Nie dziwiłem mu się zresztą. Siedział bowiem obok małżonki, do której wszystkim biło serce — ale ze strachu. Była bowiem brzydka, jak noc i stara, jak noc św. Bartłomieja.

— Ależ pani doktorowa pięknieje z dnia na dzień! — zawołałem z entuzjazmem.

Doktorowa uśmiechnęła się radośnie, ukazując zęby żółte, jak niebezpieczeństwo.

Doktór Trucicielski patrzył na mnie z ponurem zdumieniem.

— Przy dobrym mężu kobieta rozkwita, jak kwiat — zauważyłem.

— Co za kwiat... Pokrzywa! — mruknął doktór niechętnie.

W tym momencie zegar zaczął bić północ. Światło zgasło. Po chwili światła zapłonęły jeszcze jaśniej i zaczęto hałaśliwie wiwatować na cześć Nowego, Jeszcze Nieznanego, Oby Lepszego...

Byłem poważny i świadom. Wiedziałem, że teraz rozpoczęło się dla mnie inne — uczciwe — czyste życie!

Nachyliłem się do doktora Trucicielskiego i powiedziałem półgłosem:

— Ma pan słuszność, doktorze. Trudno taić, że pańska małżonka ma pysk nie do pozazdroszczenia. Przytem zdaje mi się, że lewe oczko trochę zezuje, no, a podbródków też mogłoby być przynajmniej o trzy mniej!

Doktorowa krzyknęła, jak zraniona kozica i osunęła się na poręcz fotelu. Spojrzałem na nią ze współczuciem i odszedłem wolno. Wkrótce spotkałem Wacia.

Uśmiechał się do mnie serdecznie. Uprzytomniłem sobie, że biedaczysko wierzy, iż jutro otrzyma swoich sto złotych.

— Pssst, Waciu — zawołałem — jedno słóweczko.

— Słucham cię, drogi przyjacielu!

— Chciałem wyprowadzić cię z błędu. Rzecz jasna, że tych stu złotych nie dostaniesz ani jutro, ani nawet za miesiąc. Taka bryndza, że aż piszczy.

— Jakto... co to znaczy? — zawołał Wacio z oburzeniem.

— Nic. Jestem uczciwy.

— A to...! — wykrzyknął Wacio, ale w tym momencie podeszła do niego jego małżonka.

— Co się stało, Wacula? — spytała.

— Ach, oświadczam ci, żebyś nigdy nie raczyła odkłonić się temu panu. Och, co za typ! I z takim człowiekiem musiałem siedzieć przez osiem lat na jednej ławie!

Odszedł strasznie obrażony. Wtedy poszedłem do telefonu. Nakręciłem „żądany numer". Po kilku minutach rozległ się zaspany głos:

— Hajlojt!

— Czy to pan Cyperman? Panie Cyperman, tu mówią pańskie 500 złotych, płatne za dwa tygodnie, plus 20 procent... Chciałem panu wyjaśnić, że nagrody Nobla w najbliższym czasie nie otrzymam, a i w najdalszym będzie trudno... Więc niech pan nie liczy na to źródło.

— Co, coś Nobla? — zawołał Morgan-portable. — Pan myślisz, że ja wierzyłem w tego Noblesa? Ja wiem, że pan dostanie spadek... Bo jak literat mówi, że dostanie nagrodę za pisanie, to un spodziewa się spadku i chce, żeby kolegów krew zalała z zazdrości. No nie?

— Niestety, drogi panie Ce. Spadku się też nie spodziewam. Chyba ze schodów, bo ostatnio jest bardzo ślisko... Wogóle niczego się nie spodziewam. No, dobranoc, panie Cyperman. Śpij pan zdrowo. Pomyślnego roku!

Lichwiarz zaczął strasznie krzyczeć, ale położyłem słuchawkę z łagodnym uśmiechem człowieka, który spełnił swój obowiązek.

Gdy wychodziłem z budki telefonicznej, spotkałem moją żonę. Płakała.

— Chodźmy — wołała, łkając — coś ty narobił, coś ty narobił najlepszego!

— Chyba „wszystkiego najlepszego" — wtrąciłem pogodnie.

— Nie kpij sobie! — syknęła żona, jak rozindyczona kobra. — Twój kolega klnie na ciebie, jak szewc, a doktorowa Trucicielska robi awanturę mężowi, żeby wyzwał cię na pojedynek. Oh, to okropne! Jedziemy do domu!...

Pojechaliśmy. W taksówce powiedziałem z powagą:

— Moja złota, żeby nie było nieporozumień... Na modystkę nie mam ani grosza. Bardzo mi przykro, ale mówi się: trudno!

Ja powiedziałem „trudno", a moja małżonka mówiła potem różne słowa punktualnie przez trzy godziny.

A nazajutrz zjawili się u nas w mieszkaniu dwaj czarno ubrani panowie. Byli to sekundanci doktora. Będę miał pojedynek. Doktór żąda najostrzejszych warunków. Ja wysunę projekt: szable, piętnaście kroków. Ale zdaje się, że się nie zgodzą.

— — — — — — — — —

Postanowiłem wrócić do dawnego życia. Jednak ten stary „modus vivendi" jest lepszy! A gdyby mnie sumienie zbytnio gryzło, to mu wybiję zęby! I co mi zrobi??

Bogdan Brzeziński.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 1 **Niedziela, 1 stycznia 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 1-GO:



Fragment Rynku krakowskiego.

Życzenia Szczęśliwego Nowego Roku składa Przyjaciołom Magazynu „As" Redakcja

Wysokie „fis” Zakopanego



Entuzjaści wszelkich związków ochrony zwierząt roztkliwiający się nad losem piesków, kotków i wiewiórek tłómaczyli zawsze, że piękne idee dobroci dla wszelkich czworonogów mają swe wyższe cele pedagogiczne. Ludzie, którzy nauczą się dobroci dla zwierząt — kiedyś będą dobrymi także i dla swych bliźnich. Nie należy tylko od nich zaraz za dużo wymagać. Niech naprzód pokochają zwierzęta, być może, że kiedyś przezwyciężą swą niechęć i do ludzi.



Znam wiele przykładów, świadczących, że metoda ta była niezwykle celową. I tak naprzykład w Tatrach szczególną opieką otoczono naprzód zwierzynę. Zapowiadało się turystom, że nie wolno dręczyć niedźwiedzi, nie wolno męczyć kozic, zatruwać życia owieczkom.



Przez długie lata nikt jednak nie rzucił hasła „nie należy dręczyć turystów”. Turysta był cierpliwy. Przyjeżdżał, mieszkał w szałasie, lub przeciekającej willi, chodził po błotnistej ulicy, a gdy był człowiekiem słabszym nie mógł nawet marzyć o poznaniu piękna Tatr.



Turysta jednak urzeczony pięknem Tatr — przyjeżdżał tutaj uparcie.

Aż pewnego dnia wszystko się odmieniło:

Nagle padło hasło. „Turysta też jest człowiekiem”. I wtedy zaczął się ów okres dbałości o wygody owych mas entuzjastów, zakochanych do szaleństwa w szczytach tatrzańskich.

Obok hasła:

„W góry, w góry miły bracie
Tam swoboda czeka na cię...

Wysunięto bardziej nowoczesne hasło:

„W góry, w góry miły bracie
Tam wygoda czeka na cię...

Obecnie mamy swobodę i wygodę w naszych uroczych górach.

Pierwszy okres „pionierstwa” zakopiańskiego nazwałbym okresem narzeczeństwa. Młodzi poznawali się dopiero, patrzyli rozkochani sobie w oczy. I wystarczał im szałas góralski.

Dziś przyszły czasy dojrzalsze... Powiał wiatr z zachodu mówiący o dobrodziejstwach kultury materjalnej, którą można świetnie pogodzić z kulturą duchową.

I Zakopane, które bywało tylko „zabite

Na lewo: Niezapomniane są chwile, które przeżywa się podczas zjazdu...

Poniżej: Zbocze Kasprowego od strony Hali Gąsienicowej, po którem biegnie trasa wyciągu saniowego.



deskami“ narciarzy — nagle stało „murowane“.

Zbliżyło się do Europy. Tak — każdy kilometr autostrady, każda nowoczesna jezdnia, każdy wygodny hotel — schronisko, udostępnienie szczytów, budowa autostrad — wszystko to sprawiło, że pod Tatrami powstało wielkie zimowisko na skalę europejską.

Djament tatrzański — zamienia się w pięknie oszlifowany brylant.

Ową doskonałą szlifiernią — były w dużej mierze przygotowania do międzynarodowych zawodów narciarskich FIS, jakie odbędą się w lutym. Można zresztą zapomnieć datę swego urodzenia, rocznicę ślubu, termin odkrycia Ameryki, ale nie wolno zapomnieć o tem, że w lutym każdy szanujący się człowiek względnie kobieta powinna znaleźć się w Zakopanem, podziwiać skoki na Krokwi, przejechać się na Gubałówkę i Kasprowy, zjechać po „nartostradzie“, wyciągnąć się na saniach na Kasprowy, zamieszkać choć jeden dzień w wytwornym hotelu na Kalatówkach, kupować pamiątki w bazarze, zagarażować swój wóz w wielkim garażu L. P. T.

Powiedz mi jak spędziłeś luty — a powiem ci do jakiej sfery należysz.

W tym okresie — możesz zapomnieć o własnych dzieciach i wnukach, ale musisz pamiętać, że chlubą naszą jest przedewszystkiem Wnuk przez duże „W“. Możesz odczuwać urazę do Czechosłowacji, ale wielbić Czecha. Możesz zapomnieć nazwiska wszystkich sławnych ludzi, ale gdybyś nie wiedział, kim jest Marusarz — będziesz uznany za ignoranta. Musisz wierzyć że urządzenie u nas zawodów FIS nie było porwaniem się z Motyką na mistrzostwa świata.

Masz pozdrawiać wszystkich znajomych słowami „Slalom Alejkum“ — a gdyby ci się przypadkiem w tym okresie urodził syn — nie wolno ci go nazywać Markiem, lecz Telemarkiem...

Pojedziesz więc do Zakopanego — i nie będziesz miał ochoty wyjechania stamtąd. Bo śnieg trwa do lata niemal... A Zakopane jest nie tylko zimową, ale i letnią stolicą Polski. Warszawa nadaje się co najwyżej na jakiś „demi-saison“... Sezony prawdziwe są tylko pod Tatrami...

Góry pociągną się swą olśniewającą białością. Wyda ci się, że stajesz na kobiercu z piękną panną młodą, całą w bieli. Spojrzysz w oczy dolinom, które bliższe się twemu sercu staną, niż wtedy gdyś był w dole...

Urosną ci skrzydła u nóg... pójdziesz w wyścigi z wiatrem. Porwie cię białe szaleństwo... Będziesz spędzał „białe dnie“ przy Morskiem Oku — a „białe noce“ w Morskiem Oku.

Spotkasz tu ludzi z całej Polski, dla których przyjazd do Zakopanego jest wielkiem pasmem niespodzianek, radości i wesela.

Spotkasz tu i przybyszów obcych, którzy przyjechawszy raz do naszych gór, powracać tu będą stale.

Zakopane rośnie i potężnieje. Szybkim krokiem przystosowało się do swej właściwej roli: reprezentacyjnego salonu Polski, w którym możemy przyjmować naszych gości.

Zbigniew Grotowski.



Na lewo: Wzdłuż alei, wiodącej do kolejki linowej na Gubałówkę, ustawiono słupy z przewodami sieci elektrycznej w postaci oryginalnych ciupag góralskich. Fot. T. Siemianowski.



Na prawo: Schronisko na Kalatówkach od strony zajazdu. Fot. Schabenbeck.







Od lewej: Widok stadjonu narciarskiego ze skoczni na Krokwi. — Fragment budynku stacji końcowej kolejki na Gubałówkę. — Na prawo: Wagonik kolejki zjeżdża z Gubałówki Fot. L. Motyka.

JEMIOŁA — SYMBOL SZCZĘŚCIA

Święta Bożego Narodzenia, które wnoszą z sobą tyle wzniosłych chwil, uświęconych wiekową tradycją — zbliżają człowieka ku dziełom otaczającej go przyrody. W każdym domu zakwita zielone drzewko tysiącem barw i świateł, w każdym domu jest bodaj odrobina zieleni, która spracowanego człowieka nastraja radośnie.

W niektórych krajach europejskich, zamiast zielonych iglaków zdobywają obywatelstwo podczas uroczystości świątecznych kuliste krzewy jemioły. — Mały ten bukiet zieleni, mający do 1 m średnicy, rozgałęziony widlasto, pasożytuje niemal na wszystkich naszych drzewach, charakteryzując nieraz całe krajobrazy, swemi gwiazdowatemi skupieniami. Liście zielone owalne, ułożone naprzemianlegle nie opadają na zimę, tworząc wśród bieli śnieżnej kontrastujące oazy soczystej zieleni. Na końcach pędów znajdujące się jagody, początkowo zielone, później perłowo-białe — przyciągają zimą śpiewające ptactwo.

Jemioła należy do półpasożytów. Potrzebne jej do rozwoju materjały pokarmowe (organiczne) wytwarza sobie jak umie za pomocą chlorofilu jej zielonych liści i łodyg; łodygi nie posiadają więc warstwy korkowej — liście zaś żyją 1½—2 lat. Ponieważ jemioła nie rośnie w ziemi, tylko zapuszcza korzenie w korze, względnie nawet drewna swego żywiciela, przeto wodę i rozpuszczone w niej sole mineralne ciągnie z rośliny, na której pasożytuje. O ile jednak nie występuje w nadmiernej ilości, większych szkód nie powoduje. Rolę zapylaczy jej kwiatów spełniają owady, zwabione perełkami miodu, zawartemi jesienią w kwiecie. Jemioła dojrzewa z nastaniem zimy. Rozsiewają ją ptaki — najchętniej drozdy i jemiołuszki, które obcierając sobie dzioby po spożyciu kleistej masy jagód, przylepiają w ten sposób nasiona do gałęzi drzew. — Opadające liście chętnie zjadają również zwierzęta leśne.



Francja posyła do Anglji wielkie transporty jemioły, która należy w Zjednoczonem Królestwie do obowiązkowego „rekwizytu" świątecznego.

Dziwna rzecz, jaką to bezużyteczne i raczej dla roślin szkodliwe ziele — cieszy się długowieczną tradycją, związaną ściśle z dziejami ludzkości. Jemioła odgrywała już pewną rolę nietylko w mitologji starożytnej, lecz również i w dziejach średniowiecznych. Już Eneasz miał otworzyć sobie wejście do świata pozagrobowego tą różdżką czarodziejską. W pismach starożytnych mamy również wzmianki, że „bóg zimowy" zabił „ducha słońca" za pomocą oszczepu, sporządzonego z jemioły. Znanem jest również opowiadanie Pliniusza, o czci, jaką kapłani starożytni otaczali jemiołę, rosnącą na dębie — uosobieniu siły. Wogóle w pojęciu ówczesnych ludzi jemioła odnaczała się ogromną mocą magiczną, usuwającą wszelkie czary i niszczącą działanie sił magicznych.



Jemioła zachowuje przez całą zimę piękne zielone listki.



Na gałęziach drzew tworzy jemioła charakterystyczne zgrubienia.

Jeszcze obecnie jemioła uchodzi nawet w krajach o wysokiej kulturze, za ziele, służące do odpędzania demonów. W Anglji nie można sobie wyobrazić Świąt Bożego Narodzenia bez gałązki jemioły. Wiesza się ją na suficie lub ozdabia nią drzwi wejściowe. Olbrzymie zapotrzebowanie na gałązki jemioły powoduje, że sprowadza się ją z Bretanji (we Francji jest jemioła bardzo rozpowszechniona), skąd całymi okrętami przyjeżdża ona przez morze do mglistej Anglji. Pod jemiołą skradziony całus pięknej pani — nawet w najlepszych domach o odwiecznej tradycji i surowych obyczajach — nie jest niewybaczalnem przewinieniem, ba! nawet uchodzi za frywolną psotę, chętnie wybaczaną. W ostatnich latach przyjmuje się w Niemczech coraz bardziej zwyczaj ozdabiania domów jemiołą na Święta Boż. Nar.

We Francji a nawet w Polsce znajduje ona wielu zwolenników. Wspomnieć tu należy o zwyczaju młodzieży francuskiej, która na Nowy rok wędruje z domu do domu z gałęzią jemioły, składając noworoczne życzenia.

W medycynie ludowej uchodzi jemioła od setek lat za doskonały i poniekąd jedyny środek przeciw epilepsji i zawrotom głowy; do tego celu używano specjalnie młodszych pędów (Stipites visci) i jagód. Nawet i w obecnych czasach można się jeszcze spotkać w aptekach z preparatami jemioły (Viscum quernum).

Kto zna dobrze Śląsk, tę krainę czarnych diamentów, ten zachował żywo w pamięci krajobrazy, charakterystycznie ozdobione jemiołą. W Polsce występuje ona najsilniej na Śląsku Zaolzańskim. Obecnie po tylu latach rozłąki — odwiedzając swych bliskich na Zaolziu, widzimy wszędzie jemiołę — ten symbol pogody i przyjaźni.

Zofja Drozdowska.



KĄCIK FILATELISTYCZNY

Minął już rok 1938, który obfitował w więcej wydarzeń filatelistycznych, aniżeli jakikolwiek inny — aż do 1918 wstecz, kiedy to mapa Europy uległa jeszcze daleko większym przeobrażeniom. Nie będziemy też narazie omawiali wszystkich wydarzeń, bo polityczna historja roku 1938 będzie tematem osobnego artykułu, ale zajmiemy się tylko tem, co wyłącznie interesuje zbieraczy polskich znaczków.

Otóż Polska emitowała dotychczas bardzo skromne ilości nowych znaczków — bez porównania mniejsze, aniżeli Włochy czy Belgja — nie mówiąc zupełnie o Hiszpanji lub Sowietach, gdzie ilość nowości przekraczała rok rocznie granice możliwości zakupna nawet zamożnych zbieraczy.



Najnowsza serja znaczków tureckich, na której widzimy sceny z współczesnego życia Turcji oraz budowle wzniesione przez Kemala Atatürka, jak również dwa jego portrety.

Tymczasem w tym sezonie weszło M. P. i T. na drogę, z której niełatwo zawrócić — bo zysk z każdej nowej emisji, którą Polacy „konsumowali" z bardzo dużym apetytem — może być właśnie źródłem, z którego min. Poczt i Tel. będzie chciało stale czerpać.

Jak dotychczas, cieszyliśmy się pod tym względem bardzo dobrą opinją — i chociaż oddawna oczekiwaliśmy serji „na pomoc zimową", to właśnie w tym roku nie mogła ona dać takich wyników, jak kiedyindziej — ze względu na to, że wydaliśmy już mnóstwo pieniędzy na inne znaczki.

Repertuar ich był też nadzwyczajnie obfity: 2 znaczki z P. Prezydentem I. Mościckim za 15 i 30 groszy, wydane okolicznościowo, ale w bardzo wysokich nakładach — po których ukazały się 2 bloki z okazji V Wystawy Filatelistycznej.

Impreza ta była największą z dotychczasowych i warto ocenić jej znaczenie z dalszego — czasowo — punktu widzenia.

W Warszawie stanęli do konkursu prawie wszyscy zbieracze, których kolekcje były przygotowane do wystawienia, a przyznać trzeba, że umiejętne ułożenie i opisanie zbioru, to trud równy częstokroć samemu zdobyciu egzemplarzy.

Na czoło z pośród polskich filatelistów wybili się dr Tislowitz z Krakowa i mec. Niklewski z Torunia, demonstrując specjalizowane polskie zbiory. Przyznać tu trzeba, że wystawienie wszystkich polskich znaczków z odróżnieniem każdej odmiany jest już praktycznie i teoretycznie niemożliwem. Znakomita większość eksponatów (70%) składała się właśnie tylko ze znaczków naszej Ojczyzny (wraz z plebiscytami, Litwą Środkową, Portem w Gdańsku itp.), pod-

Dokończenie na str. 31-ej.

PANIE WARSZAWSKIEGO HIGH LIFE'U:

Cecylja RUY BARBOSA



Od kilku miesięcy warszawski korpus dyplomatyczny wzbogacił się o nową piękność. Jest nią pani Cecylja-Elżbieta Ruy Barbosa, małżonka I sekretarza poselstwa brazylijskiego. Szybko stała się ulubienicą i największą atrakcją warszawskich salonów dyplomatycznych i arystokratycznych; jej przemiłe mieszkanie zaś w nowym domu na nowopowstałej alei Przyjaciół stało się miejscem pielgrzymek światowców stołecznych, pragnących zarówni złożyć hołd pięknej pani domu, jak obejrzeć jej bezcenne, wspaniałe zbiory chińszczyzny.

Ktoby przypuszczał, że pani Ruy Barbosa, jako Brazylijka, jest ognistą brunetką, raczej pulchną o płomiennych oczach-węgielkach i oliwkowej cerze, zdziwiłby się bardzo, widząc ją po raz pierwszy. Pani Barbosa to smukła pani o figurce, która mogłaby być premjowana na paryskim konkursie modelek magazynów mód. Zdarzyło mi się w ubiegłym roku być na takim „concours de mannequins", urządzonym przez związek właścicieli wielkich salonów mody w Paryżu. Główna laureatka, wybrana z pośród setek kandydatek, jeszczeby mogła pozazdrościć pani Ruy Barbosa, bo żadna w rubryce: „élégance" i „svelte" i nie mogłaby mieć not tak zaszczytnych. Włosy — złociste, oczy — błękitne, zupełnie polskie. Gdy pani Ruy Barbosa wyjechała do Polski, powiedziano jej też: „przekona się pani, że będą panią brali za Polkę".

Bo — powiedzmy to szczerze — pani Ruy Barbosa nie jest Brazylijką z pochodzenia, lecz jedynie przez małżeństwo. Z pochodzenia jest północną Amerykanką; Jej panieńskie nazwisko brzmi Licarione. Przecież to także nie brzmi po amerykańsku! Słusznie! Rodzina jej, jedna z najbardziej znanych i cenionych w Waszyngtonie, wywodzi swój ród z Włoch.

Jest więc p. Ruy Barbosa idealnem połączeniem cech romańsko-łacińskich z anglosaskiemi. Z usposobienia i wyglądu typowa wysportowana i impetyczna „american-girl", ma w sobie jednak wiele cech kultury łacińskiej, a więc miękkość w ruchach i łagodność charakteru, oraz wielkie zamiłowanie do sztuki. Nęci ją zwłaszcza malarstwo i rzeźba. Sama trochę maluje, wiele czyta. Już zdążyła zakupić na wystawach warszawskich kilka obrazów, o motywach egzotycznych, które szczególnie lubi. Uczy się usilnie po polsku, już nawet porozumiewa się potrochu ze znajomymi i niedawno powiedziała mi z radością, że bawiąc w teatrze Polskim, rozumiała już poszczególne zdania...

Trzeba dodać, że nazwisko p. Ruy Barbosa jest w Polsce dobrze znane: wystarczy powiedzieć, że od kilku lat już istnieje w Warszawie Towarzystwo Polsko-Brazylijskie im. Ruy Barbosa, nazwane tak ku czci jej teścia, którego minjatura pomnikowa znajduje się w Belwederze.

Teść pięknej pani Cecylji, pan Joao Ruy Barbosa, był niegdyś prezydentem senatu Brazylji i jednym z jej najwybitniejszych mężów stanu, a zarazem największym polonofilem, jakiego można sobie wyobrazić. On to protestował jeszcze za czasów przedwojennych przeciw gwałtom Wrześni i prześladowaniom w Chełmczyźnie, on też pierwszy zabrał głos, żądając niepodległości Polski, jako wyniku nieodzownego wojny światowej i tem tylko uwarunkował swój podpis na traktacie wersalskim. Użył, przemawiając w parlamencie za Polską zwrotu, który stał się pamiętny. Gdy ktoś dowodził, że w tej sprawie najlepiej być neutralnym, odrzekł Ruy Barbosa, że „niemasz neutralności między sprawiedliwością a zbrodnią". Za jego sprawą Brazylja była pierwszem państwem, jakie uznało niepodległość Polski. On podpisał też odnośną notę; ufundował bibljotekę polską w Paranie. Po śmierci nagrodzili go Polacy brazylijscy pomnikiem. Gdy zaś wzorem wszystkich Polaków z zagranicy brazylijscy emigranci przywieźli do Krakowa grudkę swej ziemi na kopiec Marszałka Piłsudskiego na Sowińcu, przechowywano ją w urnie, będącej cokołem minjatury pomnika Ruy Barbosy. Gdy ziemię wysypano, minjaturę tę przewieziono do Belwederu i tam postawiono, jako hołd Polaków brazylijskich i dla Marszałka i dla jego wielkiego wielbiciela a przyjaciela Jego narodu. Również dla upamiętnienia

Dokończenie na str. 20-tej.



Pokój jadalny w mieszkaniu pp. Ruy Barbosa w Warszawie zdobią cenne chińskie tkaniny.



Salon zawiera również cenne zabytki chińskiej sztuki, wśród których wyróżnia się stojąca na stole waza z przed 500 lat.

ANATOL KRAKOWIECKI

›STARA BAŚŃ‹

NOWELA

Noc pochylała się już ku godzinie 3-ej. Byliśmy zmęczeni zlekka i mijało podniecenie świąteczne. W pokoju obok grano w bridża. My — kilkoro nas — umieściliśmy się głęboko we foteiach — i słuchali opowieści pana Teodora.

Pan Teodor umiał opowiadać. Mówił zawsze o rzeczach banalnych prawie, ale mówił z takim wdziękiem, że słuchaliśmy zawsze z zainteresowaniem.

To co opowiem wam, nie jest bynajmniej niezwykłe. Owszem, wprost przeciwnie. Jest po wszednie, jak dzień, który mija i jak chleb, który nas żywi. A pointa jest skromna, malutka i sentymentalna.

Szedłem przez planty wieczorem i usiadłem wreszcie na ławce koło sadzawki. Miałem ze sobą książkę, której jednak czytać nie mogłem z tego powodu, że było za ciemno. W pewnej chwili zobaczyłem coś błyszczącego na ścieżce, zostawiłem książkę na ławce, podszedłem parę kroków, aby zobaczyć co to jest. Nie, nie było to 10-złotówka, nie było to nawet dwa złote. Był to poprostu kawałeczek stanioli.

Ale kiedy odwróciłem się, ażeby usiąść z powrotem na swojej ławce, stwierdziłem, że już jest zajęta. Już siedziało tam dwoje młodych ludzi, którzy nie widzieli ani plant, ani sadzawki, ani drzew — tylko siebie. Wiedzieli może, że jest wieczór i to im wystarczało. A może nawet nie wiedzieli.

I tu zaczyna się moja opowieść. Usiadłem — musiałem przecież coś zrobić, nie mogłem ich wypędzić z ławki, którą okupowali — na ławce sąsiedniej. Tuż obok. I wysłuchałem wówczas opowieści tak zwykłej, tak szarej, jak żwir ścieżki. Przyznaję się, że podsłuchiwałem.

— Czy mnie kochasz? — pytała ona i był to refren, który powtarzał się co chwilę.

On zaklinał się w słowach, które były żywe, błyszczące i bardzo młode. Niewątpliwie wierzył w to, co mówił, a jednak... Ale nie sądźmy zbyt surowo! Odbiegłem od czasu młodości daleko, mam siwą głowę i myśli moje dalekie są od spraw, które się tłuką w młodych sercach i od westchnień płynących w gwiazdy. Rozmowa ich miała dla mnie jednak jakiś urok, jakiś zapach, miała czar młodości.

— Ach, nie były to zbyt mądre rzeczy, te, które oni mówili. Były może błahe, może naiwne, ale w każdym razie świeże.

— Czy pamiętasz jak się poznaliśmy? To doprawdy przedziwny wypadek. Zsunął mi się lis z ramion, a ty go podniosłeś. To doprawdy cudowne.

Cóż w tem cudownego? Ale młodość wszędzie widzi dookoła siebie rzeczy niezwykłe.

— Tak, ja podniosłem ci lisa i podałem. A tyś uśmiechnęła się uroczo, skinęła główką, podziękowała i chciałaś odejść.

— O, nie wierz. Ja już wtedy, w tej pierwszej minucie, w tej pierwszej sekundzie, kiedy spojrzałam na ciebie, już chciałam zostać. Ale powinnam była odejść.

— Nie, nie powinnaś! Nie pozwoliłbym ci.

— Nie pozwoliłbyś.

— Znowuż nie powiedz, że cię zatrzymałem przemocą.

— Nie, ale ukłoniłeś się i coś powiedziałeś.

— Powiedziałem: Czy mogę pani towarzyszyć?

— Naprawdę? Tak banalnie? A ja miałam wrażenie, że powiedziałeś mi jakąś wielką rzecz, bo odrazu zostałam przy twoim boku. Czy naprawdę powiedziałeś mi tylko: Czy mogę panią odprowadzić? Tak, jak tysiąc młodych ludzi, tysiącom młodych dziewcząt mówi na plantach? Nic innego?

On był jakby dotknięty, a zarazem jakby zawstydzony.

— Ależ nie. Doprawdy powiedziałem tylko to...

— Dziwne. A ja przecież wiedziałam, że to się zwykle tak zaczyna i zawsze mówiłam sobie: nie, nigdy nie pozwolę sobie na znajomość zaczętą w ten sposób. Myślałam: poznam młodego, przystojnego, opalonego na bronz chłopaka w samolocie. Albo przewróci się mój kajak na Wiśle. Albo złamię nogę przy zjeździe z Kasprowego, a on przybędzie mi z pomocą. Będzie miał granatowy kostjum i biały, śnieżno biały sweter.

— A ja miałem zwykłe szare ubranie.

— To nieprawdopodobne.

— Ach jakież to głupie. Ja bym nigdy w ten sposób nie mówiła do jakiegoś młodego zarozumialca.

Panna Tula była wyraźnie zgorszona. Przerwała Teodorowi bezlitośnie.

— Przecież takiemu może się przewrócić w głowie. I co potem z nim robić?

Zaczynała grymasić.

— Przecież to tak nie powinno być! I dlaczego właściwie ja cię pokochałam?

— Moje słonko...

I znowu posypała się lawina słów o miłości. Gorących, jak ten letni wieczór. I banalnych. Ale w ich ustach każde słowo miało wagę, cel i urok. Chociaż każde słowo było już miljon razy powiedziane w miljonie podobnych sytuacyj. Nawet przez ich usta przewijały się te same słowa ciągle. Jakby akcent, jak motyw muzyczny. Jak uparta melodja klarnetu w bolero Ravella.

O, nie wiem czy porównanie to jest dobre, ale na razie brak mi innego. Te słowa, które oni mówili bynajmniej nie były pastelowe, stonowane, ciche. Stawały się coraz głośniejsze, coraz swobodniej płynęły w tym spokojnym zakątku plant. Już właściwie nie podsłuchiwałem — już tylko słyszałem. A oni otoczyli cały świat swoimi słowami jak mgłą i unieśli się.

— Czy zawsze będziesz mi mówił te piękne słowa, które teraz mówisz?

— Zawsze, do śmierci. Kiedy się patrzę w twoje oczy, ginie dookoła mnie świat. A włosy twoje pachną bardziej upojnie, niż te kwiaty, tam...

Mówił szczerze.

— O, i ja nie wyobrażam sobie już życia bez ciebie.

— Jeszcze miesiąc, dwa, a pójdziemy koło siebie długim kościołem, po czerwonym dywanie. I będzie śpiewał chór i grały organy.

— A ja nie będę nic widzieć przez łzy. Przez łzy radości. Przytulę się do ciebie, uwieszę ci się u ramienia.

— Obym się tylko nie przewrócił. Kiedy myślę o tem, właśnie o tem, zawsze boję się, że się przewrócę. Potknę się na dywanie i runę jak długi.

— Ach, Boże cóż to byłby za skandal!

— Czasem śni mi się, że wchodzę do kościoła i maszeruję pod sam ołtarz w kapeluszu. I budzę się oblany zimnym potem. Tak samo oblewa mnie pot na myśl, że się przewrócę.

— Nie, nie przewrócisz się. Nie jesteś niedołęgą. Jesteś najdzielniejszym człowiekiem na świecie.

— A ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną. Kiedy pomyślę, jak będziesz wyglądać w białej sukni, w białym welonie, to... nie wiem jak to ci powiedzieć. A potem... A potem...

— Ach, nie mów!

Słowa przelały się w szept i płynęły wprost w uszko dziewczyny. Musiały być upalne, bo dziewczyna przytuliła się silnie i słuchała, słuchała! Broniąc się niby.

— Będziemy urządzać mieszkanko. Takie małe, dla nas dwojga.

A więc przeskoczyli fakt, który miał być najbardziej intymny, a dla nich najbardziej płomienny. Wrócili z szeptu jak z dalekiej podróży w normalny ton. Prawie tak jakby się już stało.

Zaczęli urządzać mieszkanie. Poznałem to mieszkanie bardzo dobrze, do najmniejszych szczegółów. Wiem jakie firanki są w tem mieszkaniu, jakie dywany, jakie kwiaty kwitną w doniczkach, jakie żyrandole wiszą u sufitu, jakie rondle — nawet! — są w kuchni. Wiem, że obrazków jest niewiele, ale wszystkie piękne. I że na głównej ścianie wisi akt.

Chodziłem z nimi po tem ich mieszkanku, cieszyłem się razem z nimi i wtopiłem swą fantazję w fantazję ich tak dalece, że stanowiliśmy omal że jedno. Być może, że im nawet zazdrościłem, a napewno wiem, że żałowałem kiedy odchodzili.

— A w podróż poślubną jedziemy do Zakopanego.

Te słowa zasyczały na żwirze ścieżki i przykryły się jej chrzęstem. Odeszły, bo i oni odeszli.

To był lipiec. Tak gorący w tym roku, jak właśnie ich miłość. A jednak minęło zaledwie kilka miesięcy... Byłem właśnie w kościele św. Mikołaja. Rozścielony był czerwony chodnik przez cały kościół. Chór śpiewał i organy grały. I szła do ołtarza młoda para. Ona w białej sukni z białym rzęsistym welonem. On we fraku, wysoki, szczupły, opalony (jeszcze opalony!).

— No tak, zwyczajna świnia. A to dlatego, że ona tak bezlitośnie na niego leciała. Przecież ona się ciągle demaskowała.

Panna Tula była wściekła.

— No, jabym takiemu ananasowi dobrała się do skóry! Jabym mu dała łupnia. A przedewszystkiem zrobiłabym z niego pantofla. że proszę bardzo.

No tak, panna Tula jest niezmiernie rezolutna i bardzo pewna siebie. Ona chyba da radę sobie z każdym mężczyzną.

To właśnie był on. Tylko, że ta biała pani, która szła koło niego, nie była — nią. Ale szła płacząc, tak jak obiecywała tamta. I uczepiła się jego ramienia, tak jak tamta miała to zrobić.

On szedł uroczysty, szczęśliwy. I nie przewrócił się bynajmniej.

Czerwony chodnik życzliwie kładł mu się pod nogami.

Wszystko odbyło się jak zwykle. Chór zaśpiewał „Veni Creator".

Może w tym samym czasie, a może wcześniej lub później również w jakimś kościele i ona szła w białej sukni, w białym welonie, płacząc. I uczepiona kurczowo u ramienia wysokiego pana we fraku. I choć to nie był ten młodzieniec z plant, również bał się, ażeby nie potknąć się na dywanie i nie runąć.

— Bo takie jest życie. I zapowiedziałem wam, że nie będzie nic niezwykłego w opowieści, którą tu „wyględzam". Nie miejcie przeto do mnie pretensji.

Ach, istotnie obiecałem wam, że ma być pointa. Jest ona niestety bardzo wątła i nie wiem, czy was zadowoli:

Otóż kiedy młodzi podnieśli się wówczas, w lipcowym wieczorze z ławki, podszedłem do niej. Moja książka leżała spokojnie. I oto niewątpliwie młoda dziewczyna cały czas siedziała na niej, nie czując tego nawet, tak jak nie wiedziała wogóle o świecie, który ją otacza. Tytuł tej książki brzmiał:

— Kraszewski „Stara baśń".

KONIEC

Od owej nocy, kiedy to zegary zbliżały się do godziny trzeciej, a pan Teodor opowiadał nam o młodej parze, minęło zaledwie pół roku. Czerwiec zaczynał się gorąco, jakby pod zwrotnikiem.

W malym kościółku wiejskim organy grały rozgłośnie.

Tym razem panna Tula szła w białym welonie.

Tylko że — również nie z nim. Nie z tym, do którego siedziała przytulona w czasie opowieści pana Teodora.

Mój Boże, trudno. Stara baśń.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA STRÓJ NARCIARSKI

UWZGLĘDNIAJĄCY POLSKIE MOTYWY GÓRALSKIE

Jury Konkursu Magazynu „AS" na strój narciarski w składzie osobowym: **P. Janina Koźmińska, członkini Komisji propagandowej FIS — p. Ewa Mieroszewska (Lady Like) — p. dr Kazimierz Harhat-Załuski, wiceprezes P. Z. N. — p. Janusz Marja Brzeski — p. prof. Mieczysław Dąbrowski — p. mgr. Juljusz Leo — p. Jan Maleszewski i p. Antoni Wasilewski, przewodniczący Komisji artystycznej FIS.** rozpatrzyło zgórą 300 nadesłanych projektów i wybrało 7 najlepszych, które otrzymały następujące nagrody:

250 złotych jako nagrodę Ligi Popierania Turystyki — projekt opatrzony godłem „Zima" p. Janiny Passakas, Kraków, Al. Krasińskiego 28. — Strój narciarski kobiecy jako nagrodę firmy „Bracia Lankosz", Zakopane, ul. Krupówki 46. — Projekt opatrzony godłem „Ewa", p. Ewy Leowej, Kraków, ul. Siemiradzkiego 17. — Tygodniowy pobyt w Zakopanem podczas zawodów FIS jako nagrodę Polskiego Biura Podróży „Orbis", — projekt opatrzony godłem „Kinga", p. Stefanji Zabrockiej, Łódź, ul. Nawrot 34. — Dwutygodniowy pobyt w Zakopanem jako nagrodę Gremjum Właścicieli Hoteli i Pensjonatów w Zakopanem, — projekt opatrzony godłem „Pieski", p. Anny Studzińskiej, Poznań, ul. Grochowska 41. — Strój narciarski męski jako nagrodę firmy „Bracia Lankosz", Zakopane, ul. Krupówki 46, — projekt opatrzony godłem „L. H.", p. Ludwika Hirszsona, Warszawa, ul. Książęca 7. — Kupon materjału na ubranie jako nagrodę Konwencji Fabrykantów Sukna Bielska, Białej i okolicy z siedzibą w Bielsku, ul. Marszałka Piłsudskiego 4, — projekty opatrzone godłem „Huculski I i II", p. Hanny Dolińskiej-Obfidowiczowej, Lwów, ul. Kadecka 5b). — Drugą taką samą nagrodę (kupon) otrzymał projekt oznaczony godłem „Myślenice", p. Anny Studzińskiej, Poznań, ul. Grochowska 41.

Ponadto Jury wyróżniło wiele prac, których spis podany będzie w następnym numerze Magazynu „AS". Nagrodzone projekty ukażą się ze względów technicznych również dopiero w następnym numerze „Asa".

ŚPIEWAJĄCA GODZINA

Gdy wśród ciszy nocnej zabrzmią z Marjackiej wieży dźwięki hejnału, spóźniony przechodzień mimowoli przystaje, aby nasycić się odwieczną melodją, jakby stojącą na straży czasu, a tak organicznie związaną z Krakowem. Hejnał to niejako istotna część zabytków Krakowa i bez niego trudno by sobie wyobrazić naszej prastarej stolicy.

Tak samo jak niepodobna wyobrazić sobie Flandrji bez „Carillonu".

Muzyka dzwonów, to jakby dźwięczna dusza miast flamandzkich, to ich wielkie umiłowanie. Grzmiący spiż odmierza im godziny życia pięknemi, staremi pieśniami narodowemi o spokojnych, poważnych tonach. Każdy Flamandczyk kocha muzykę dzwonów i dlatego też, gdy artysta-dzwonnik zasiada przy swej ogromnej klawjaturze na wieży katedry w Malines, może być pewien, że na placu przed kościołem, w wąskich uliczkach dookoła, aż czarno od ludzi, którzy z niecierpliwością oczekują, jakie to melodje wygra im ich ulubiony „Carillon".

W każdem mieście muzyka dzwonów posiada odmienny charakter. Louvain, Termonde, Saint-Trond, Audenarde kochają się w motywach religijnych, w starych kolędach i pieśniach nabożnych. Tournai lubi melodje wesołe, jak świergot ptaków. W Brugge głos dzwonów nie ustaje ani na chwilę, gdy jedna wieża kościelna milknie, to druga zaczyna, czasem grają dwie naraz, co stwarza niemiłą kakofonję. Zresztą każde miasto ma swoją własną melodję, która stanowi jakby duszę małej ojczyzny i bywa grana podczas ważniejszych uroczystości, rocznic lokalnych, lub miejscowych świąt. Taka melodja nieraz pamięta czasy, gdy miasto było samodzielne i panowało nad okolicą, jak to ma miejsce w Alost, gdzie ufundowano pierwszy we Flandrji carillon przeszło pięćset pięćdziesiąt lat temu i od tego czasu zawsze w południe grają tam, na dzwonach, naturalnie, parę taktów, piosenki do słów: „O mijn Moedersprask" (O moja mowo macierzysta).

Carillony w innych miastach zakładano przeważnie w XVI wieku. Audenarde dostała swój w roku 1504, Louvain w 1520. Gandawa w 1552, Malines w 1555 r.

System muzyczny dzwonów przy katedrze w Antwerpji składa się z 47 sztuk różnej wielkości, odlanych, jak i dla przeważnej części miast flandryjskich, w Amsterdamie. Wieża kościoła w Mons liczy 35 dzwonów, z tych największy waży przeszło 6 tys. kg. W Namur rozbrzmiewa 50 dzwonów o bardzo pięknym czystym dźwięku.

Stolica Belgji — Bruksela nie posiada carillonu, ale, jak mówią Flamandowie, Bruksela to już nie Flandrja, to międzynarodowe miasto, które wyzbyło się dawnych tradycyj i zwyczajów.

Jednak bezwątpienia najlepsze urządzenie do wygrywania moledyj na dzwonach posiada stolica arcybiskupstwa — Malines. Cały „zespół" waży przeszło 36 tys. kg. i obejmuje 45 różnej wielkości dzwonów, które dając serję pełnych i półtonów, tworzą gamę chromatyczną, obejmującą cztery oktawy. Ten gigantyczny instrument posiada wielce skomplikowaną maszynerję, służącą do mechanicznego poruszania serc poszczególnych dzwonów, wiszących mocno i na stałe przyczepionych do ogromnych, nieruchomych belek. W zasadzie mechanizm ten przypomina urządzenie kataryнki, lub też modnych w zeszłem stuleciu, grających pozytywek. Składa się on z ogromnego walca, który w Malines ma 1 m 80 cm średnicy, waży blisko 10 tys. kg. i posiada na swej powierzchni około 16 tys. otworów, służących do umacniania tam tęgich, żelaznych sztyftów.



Katedra w Malines znana jest w całej Belgji z dramatycznych epizodów, jakie rozegrały się podczas wojny światowej w jej murach.





Powyżej: Walec metalowy, służący do uruchomienia dzwonów „carillonu" w katedrze w Malines.

Poniżej: Artysta-dzwonnik przy klawiaturze „carillonu".



Z chwilą, gdy zegar na wieży kościelnej skończy wydzwaniać godzinę, cały ten olbrzymi aparat automatycznie zostaje wprowadzony w ruch. Walec zaczyna się obracać, a żelazne sztyfty sterczące z jego powierzchni napotykają na swej drodze i odciągają sprężyny, które znów powodują uderzanie serc dzwonów o ich wewnętrzne brzegi, co wywołuje odpowiedni ton. Mechanizm ten gra co godzinę melodję, złożoną z 108 taktów, co pół godziny odmienną z 48 taktów, a co kwadrans jeszcze inną z 8 taktów. Zwykle co tydzień zmieniają melodję, zmieniając ustawienie sztyftów na powierzchni walca.

Gdy artysta-dzwonnik ma zamiar grać samemu, mechanizm zostaje wyłączony. Muzyk zasiada przed oryginalnem urządzeniem, w którem mocne drążki zastępują klawisze fortepianowe. Drążki te ułożone są w dwóch rzędach, dolne wysunięte nieco naprzód komunikują się z dzwonami, dającemi pełne tony, zaś górne, cofnięte w tył z dzwonami o dźwiękach półtonowych (bemole i krzyżyki). Za pomocą silnych lin drucianych, klawisze poruszają mechanizm uderzania o poszczególne dzwony. — Naturalnie artysta chcąc wydobyć z tak olbrzymiego instrumentu odpowiednie tony, musi używać wiele siły i walić pięściami w klawisze z całej mocy. Jednak dobry artysta-dzwonnik potrafi modulować swe uderzenia i wydobyć z dzwonów nawet bardzo delikatne „piano". W niektórych miastach wprowadzono elektryczny napęd carillonu,

ale starzy mieszkańcy narzekają, iż psuje to i zniekształca ich narodową muzykę.

Wspaniale wygląda ten, na miarę olbrzymów zakrojony instrument. Dzwony wiszą rzędami na ogromnych belkach, podpartych dla dodania odpowiedniej mocy i wytrzymałości całej konstrukcji, potężnemi krokwiami. Widok tej instalacji sprawia naprawdę imponujące wrażenie. Jednak gdy rozdygotany spiż grzmi falami głębokich tonów, gdy od dźwięków i ruchu maszynerji drżą wszystkie wiązania budowli, wówczas ogarnia widza przerażenie, wydaje się, że potężne mury nie wytrzymają naporu wibrującego powietrza i że cała ta wielce skomplikowana konstrukcja runie na głowę.

Zupełnie inne wrażenie odnosi się, słuchając muzyki dzwonów na zewnątrz budynku. Spadające ze znacznej wysokości kaskady tonów łączą się w piękne akordy i pasaże, świergotliwe, wysokie dźwięki wiążą się z głębokim basem akompanjamentu, słowem tworzą muzykę niezwykle przejmującą, a wrażenie, jakie wywiera, pozostaje na długo w pamięci.

Cała piękność i bogactwo dźwięków carillonu polega, poza maszynerją naturalnie, na jakości, barwie i pełnej harmonji tonu, które to zalety twórca dzwonu utrwalić musi w swem dziele. Zawód ludwisarza, jak w dawnej Polsce zwano odlewaczy dzwonów, jest bardzo dostojnem i szczytnem rzemiosłem artystycznem, a cechy ich cieszyły się zawsze wielkiem powodzeniem. Oprócz długoletniego i bogatego doświadczenia, wymaga fach ten jeszcze bardzo dokładnej znajomości praw akustyki, oraz gruntownego wykształcenia muzycznego. Każdy dzwon osobno wzięty, stanowi bardzo zwykły i prymitywny instrument, jednakże w zespole carillonu staje się przedmiotem niesłychanie delikatnym i subtelnym. Każdy z tysiąca czynników wchodzących w skład całości wykonania, może zasadniczo wpłynąć na jego wartość instrumentalną. Doświadczony odlewacz, opanowawszy swój fach w zupełności, powinien dokładnie ustalić, jeszcze przed rozpoczęciem odlewu, ton, jaki wyda jego dzieło, oraz miejsce, jakie zajmie w zespole, co znów zależy od użytych do stopu materjałów, ich proporcji, oraz kształtu i wymiarów dzwonu.

Jednak i zawód artysty-dzwonnika bywa też niemniej twardy i trudny. Aby osiągnąć uznanie i powodzenie w tym zakresie twórczości, nie wystarczy posiadać odpowiednie zdolności i pełne wykształcenie muzyczne. Konieczna jest jeszcze gorliwa i wytrwała praca oraz znaczna siła fizyczna,

której wymaga wprawienie w ruch olbrzymiego mechanizmu, jakim jest klawjatura carillonu.

Między artystami-dzwonnikami do dziś dnia żyją w tradycji sławni w XVII stuleciu Dirk Scholl z Delft i Jakób Pothold z Alost. Opowiadają też sobie, że na skutek zakładu, Maciej van den Gheyn z Louvain wygrał na swoich dzwonach, z nadzwyczajną lekkością i pełną dokładnością, uczone i skomplikowane modulacje, które wyciągał smyczkiem sławny skrzypek Kermis. Usłyszawszy to wiolinista, zdumiał się do tego stopnia, iż zaczął powątpiewać o swej sztuce i umiejętności i zapragnął zostać dzwonnikiem.

Inne wspomnienie z Louvain: Gdy podczas strasznej nocy sierpniowej w 1914 roku pół miasta gorzało, a mieszkańcy mordowani przez wojska pruskie napróżno szukali schronienia, artysta-dzwonnik tamtejszego kościoła św. Pawła, p. Van de Plas dodawał rodakom sił do wytrwania, wygrywając na swej orkiestrze dzwonów stare pieśni patrjotyczne. Już płomienie obejmowały kościół, a mimo to, wśród huku wystrzałów, trzasku walących się domów i krzyków strwożonej ludności, rozlegała się wciąż dostojna melodja dzwonów. Wreszcie żołnierze niemieccy siłą sprowadzili p. Van de Plas z jego podniebnej kryjówki na plac przed kościołem. Krótka parodja sądu, potem salwa i martwe ciało artysty legło u stóp wieży, z której przez przeszło 25 lat zachwycał swych rodaków ulubioną ich muzyką. Zaraz też potem, wśród ogłuszających trzasków i dźwięków rozbijanego spiżu, zaczęły spadać z przepalonych belek na bruk uliczny dzwony carillonu z Louvain.

Dziś miasto już odbudowane, kościół św. Pawła piękniejszy niż był przedtem, jednak niestety bez tej dostojnej patyny wieków, która okrywała jego sędziwe mury. Z wysokiej wieży znów rozbrzmiewają pieśni dzwonów, a gra na nich nie kto inny, jak młody Van de Plas, syn i następca zamordowanego artysty.

Co wygrywa na dzwonach? Jakie melodje cieszyły się największem powodzeniem u tłumów słuchaczy?

Za dawnych czasów oprócz starych pieśni narodowych lub miejscowych, jedynie utwory religijne, kolędy, muzyka kościelna miały uznanie, bo głos dzwonów był zarazem głosem kościoła. Te stare melodje, które tradycja zachowała, dziś jeszcze do łez wzruszają wnuków i prawnuków, tych, którzy je słyszeli w minionych wiekach. Są melodje pisane specjalnie dla muzyki dzwonów, a z pietyzmem zachowane. Niektóre z nich wesołe, inne smutne, jeszcze inne wzywają do modlitwy lub do boju. Jednakże najlepiej nadaje się do poważnych dźwięków carillonu muzyka z 18-go stulecia. Szerokie, pogodne melodje Bacha odpowiadają w zupełności powolnym wibracjom muzyki dzwonów, tak samo jak i melancholijna tkliwość Schumana lub łagodny sentymentalizm Schuberta.

Największe jednak powodzenie u słuchaczy zyskiwał na początku bieżącego stulecia stary artysta-dzwonnik Jef Denys, gdy przy swej ogromnej klawjaturze, na wieży katedry w Malines improwizował na tematy staroflamandzkich pieśni.

Znaną jest legenda o odlewaczu dzwonów, który miał bardzo piękną córkę. Tworząc szczególnie wielki i piękny dzwon, chciał wlać duszę w jego głos spiżowy. Córka poświęciła się dla marzeń ojca, skoczyła do roztopionego metalu i oddała życie, by zakląć swą duszę w dźwięki olbrzymiego dzwonu. Tak samo i Flamandowie oddali swe serca swoim dzwonom i odtąd carillon nie przestał rozbrzmiewać we Flandrji.

Tadeusz Abdank Piotrowski.

Na prawo od lewej: Skomplikowany mechanizm porusza liczne dzwony w Malines. — A oto szereg dzwonów, których dźwięki składają się na oryginalną muzykę.





Poniżej: Również Gandawa posiada w swej katedrze prastary „carillon".



VILLE — LUMIÈRE
Fragment placu Zgody.



W MROKACH NOCY



Na lewo: Puszczyk uważany jest przez zabobonnych wieśniaków za zwiastuna nieszczęścia.



Powyżej: Oto dwie młode sowy amerykańskie, które odznaczają się niezwykle dziwacznym wyglądem.

Poniżej: Sowa uszata zamieszkuje górzyste okolice.





Wygląd zewnętrzny nietoperzy dziwnie harmonizuje z nocnym, niesamowitym trybem życia tych zwierząt.

Gdy nadejdzie noc i pogrąży świat w ciemnościach, zdawaćby się mogło, że cała przyroda ułożyła się do snu. Na polach, łąkach i w lasach panuje pozornie niezmącona cisza. Większość stworzeń zasypia w bezpiecznem schronieniu. Ptaki podsunąwszy główki pod skrzydła układają się w gnieździe lub ukrywają się wśród gałęzi drzew, wiewiórki zasypiają w dziuplach, nakryte puszystym ogonem, przy „domowem ognisku" skupia się wiele zwierząt, które po pracowitym dniu żądne są odpoczynku.

Jednak tylko pozornie. Są takie wśród zwierząt, które dopiero pod osłoną nocy zaczynają swe życie. Opuszczają swe nory lub dziuple czy inne miejsca zamieszkania i wybierają się na poszukiwanie żeru, aby zaspokoić głód własny i swoich najbliższych. Niby tajemnicze cienie lub złowróżbne duchy wysuwają się cicho, niemal bezszelestnie ze swych legowisk i rozpoczynają łowy, którym często towarzyszą krwawe walki. Świadkiem nocnych uczt są często tylko nieme drzewa i blade światło księżyca.

Z życiem zwierząt nocnych najczęściej związane są zabobonne wierzenia i zupełnie nieraz niewinnym stworzeniom przypisuje człowiek tajemnicze właściwości, a sprzyja temu cisza oraz ciemność nocy, które wyolbrzymiają „strachy" i rozbudzają fantazję, pozwalając jej snuć najdziwaczniejsze przypuszczenia.

Wiele zwierząt nocnych traci życie przez zabobonne wierzenia nieznającego ich życia człowieka. Ileż to razy najniewinniejszy w świecie nietoperz, najlepszy sprzymierzeniec człowieka w walce jego ze szkodliwymi dlań owadami, ginął, gdyż przypisywano mu kontakt z nieczystemi siłami. Dość powszechnie zakorzenione jest mniemanie, że nietoperz wplątuje się we włosy, lub wyjada słoninę w spiżarniach. Również i postacie wyobrażające szatana przyozdobione są w „skrzydła" nietoperza, jako symbolu złego ducha.

Lelek kozodój, spokojny i niewinny ptak swemu nocnemu trybowi życia zawdzięcza niechęć, jaką żywią ku niemu szczególnie pasterze posiadający bydło, kozy i owce na halach. Jemu to przypisują wypijanie mleka wprost od bydła czy kóz, skąd zresztą poszła nazwa kozodoja.

Nie mniej wielu nieprzyjaciół wśród ludzi znajdują sowy, które w ciche noce wylatują na żer. Niesamowicie nieraz wyglądają cienie rzucane na ziemię, oświetloną bladem światłem księżyca, rzucane przez ich szeroko rozpostarte skrzydła. Lecą cicho i bez szmeru, niby duchy, upatrując zdobycz bystremi, szeroko rozwartemi oczami. Nic dziwnego, że nie słychać szumu ich skrzydeł, gdyż zewnętrzne ich brzegi są powycinane jakgdyby w frędzle, które układają się miękko; także piórka pokrywające całe ciało są delikatne, miękie i puszyste, tak, że mimo wysmukłości ciała, sowy wydają się ptakami o krępej budowie.

Gdzież się podziewają przez dzień owe ptaki i czego szukają po nocy?

Tajemnicę mogłyby zdradzić rozpadliny skalne, stare dzwonnice lub wieże kościelne, opustoszałe strychy i dziuple drzew, dające im bezpieczne schronienie w czasie dnia. Dopiero z nastaniem mroku opuszczają sowy swe mieszkania i lecą w poszukiwaniu zdobyczy. Obecność ich zdradzają tylko wyrzucane z kryjówek kule utworzone z sierści lub piórek oraz kostek myszy i ptaków. Wszystkie bowiem części niestrawione zbijają się w przewodzie pokarmowym sowy i zostają następnie przez nią wydzielone, stanowiąc dowody krwawej, nocnej uczty.

Sowy spotykamy nieomal wszędzie. Żyją zarówno w surowym i zimnym klimacie daleko na północy pod kręgiem polarnym, jak też i wśród bujnej, podzwrotnikowej roślinności; odpowiadają im zarówno niskie położenia jak też i wysokie, górskie, sięgające nawet kilku tysięcy metrów ponad poziom morza. Te gatunki, które trzymają się zimnych, północnych okolic, w okresie zimowym przeważnie przelatują w kierunku południowym, aby później powrócić znowu do swych rodzinnych stron.

I u nas w Polsce nie brak wielu gatunków sów. Pospolitym wszędzie jest puszczyk, znany ze swego przeciągłego głosu, przypominającego szyderczy śmiech. Często trzyma się on w pobliżu zabudowań ludzkich i głosem swym wzbudza strach wśród mieszkańców.

Jeszcze większem przerażeniem napawa zabobonnych głos niewielkiej sowy pójdźki, w którym zdają się oni wyróżniać wołanie ku sobie „pójdź, pójdź", skąd też posła i nazwa owej sowy. Jest onaa uznana za ptaka wróżącego nieszczęście i śmierć, nosi nawet miano ptaka śmierci. Przerażenie budzi zwłaszcza wtenczas, gdy zwabiona światłem przylatuje pod same okna domów. W rzeczywistości jest to ptak bardzo miły i mądry. O ile lud nasz obawia się widoku tego ptaka i drży przed jego głosem, o tyle starożytni Grecy mieli dla niego poważanie i część uznając go za ptaka bogini Pallas Atene, uważali za symbol mądrości. Szczególny wyraz oczu pójdźki podkreśla jeszcze szlara, będąca obramieniem z miękkich, promienisto wokół oczu ułożonych piórek.

Bardzo wyraźne szlary, sercowatego kształtu a nie okrągłego jak u innych sów, charakteryzują płomykówki. Jaśniej zabarwione odcinają się żywo od reszty upierzenia. Sowy te gnieżdżą się często w dzwonnicach i wieżach kościelnych, pozostając w

bliskim sąsiedztwie lub dzieląc nawet mieszkanie z gołębiami. Ani jednak głosy dzwonów, ani ustawiczny lot i gruchanie gołębi nie „denerwują“ płomykówek, które z całym spokojem wypoczywają i drzemią przez dzień.

Ofiarą zabobonu pada gdzieniegdzie uszata sowa leśna. Lud bowiem przypisuje jej skórze własność ochrony przed pożarem, to też często ptak ten pada od kul i przybity, z rozpostartymi skrzydłami do drzwi domostwa, ma jego mieszkańców chronić przed katastrofą groźnego żywiołu. Skąd sowa ta zyskała miano uszatej? Na głowie jej widoczne są sterczące najczęściej prosto w górę piórkowate, jakgdyby uszy. W rzeczywistości nie mają one nic z uszami wspólnego, nie znajdują się nawet w okolicy uszu, lecz ponad oczyma i tylko imitują uszy. Uszy zaś właściwe w postaci otworu słuchowego ukryte są dobrze w piórach. Od przodu są one zasłonięte przez specjalną kostną małżowinę, która znakomicie zaostrza słuch sowy. Gdy sowa leci bowiem, pęd powietrza nie wpada wprost do jej otworów słuchowych, lecz uderza o małżowinę uszną, przez co sowa słyszy doskonale zwłaszcza w ciszy nocnej wszystkie szmery poza sobą. Pod tym względem sowy stanowią wyjątek, wszystkie bowiem inne ptaki mają tylko same otwory słuchowe, ukryte w piórach, a pozbawione małżowiny.

Królem sów nazwać można puhacza, który jest olbrzymią sową o pokaźnych „uszach“. W Polsce najliczniej zachował się ten piękny i okazały ptak jedynie w Karpatach oraz we wschodnich lesistych obszarach, zresztą należy do rzadkości. Gnieździ się on szczególnie chętnie w gęstwinie leśnej, w pobliżu wód i błot. Puhacz jest nie tylko największą sową ale i najdrapieżniejszą. Wprawdzie wszystkie te ptaki rzucają się tylko na żywą zdobycz, tamte jednak pożerają przeważnie myszy i to polne, oddając tem rolnikowi wielką przysługę, poza tem drobne ptaszki lub mniejsze ssaki, puhacz zaś przeważnie rzuca się na zające, większe ptaki leśne a nawet cietrzewie i głuszce, nieraz zdarzy mu się zaatakować i dorosłą sarnę. Uderzeniami swego silnego, hakowato zakrzywionego dzioba zadaje silne razy w głowę, przeważnie śmiertelne i ostrymi szponami rozdziera ciało ofiary. Puhacz jest znienawidzony przez wszystkie niemal ptaki, które atakują go zapamiętale, gdy przypadkiem spostrzegą go za dnia. Bez względu na wzajemny do siebie w innych warunkach stosunek, skupiają się one w gromadę i wspólnemi siłami przypuszczają atak na olbrzymiego ptaka. Nie brak wśród napastników drapieżców dziennych, licznych wron i gawronów, a także całej rzeszy drobnych śpiewaków. Tę nienawiść rozmaitych ptaków do puhacza podpatrzyli i wykorzystali myśliwi przeciwko nim, organizując łowy z puhaczem. W odpowiednio dobranym mejscu ustawają on puhacza żywego trzymanego na łańcuchu lub też wypchanego. Gdy zewsząd zaczną się zlatywać ptaki, ukryci myśliwi oddają do nich celne strzały.



Powyżej: Sowa płomykówka.

Poniżej: Sowa śnieżna.



Na dalekich tundrach żyje sowa śnieżna, która swą nazwę zawdzięcza białej barwie. Zauważono, że występowanie tej sowy oraz jej liczebność są związane z występowaniem i pojawianiem się masowym drobnych gryzoniów-lemingów, stanowiących doskonale pożywienie owych mieszkanek dalekiej północy.

Odmiennym sposobem życia oraz przedewszystkiem zamieszkania różnią się od wszystkich swych krewniaczek sowy ziemne, jak sowa pampasowa z Ameryki płd. lub sowa prerjowa z Ameryki płn., które żyją w norach najczęściej wygrzebanych w ziemi przez gryzonie i często dzielą mieszkanie z grzechotnikami, jednem z najjadowitszych wężów na świecie.

Sowy, o czem człowiek nie wie, są jego najlepszemi sprzymierzeńcami, gdyż pożerają bardzo wiele myszy, owadów i innych zwierzątek, które niszczą pracę człowieka i psują jego plony. Ich niezwykle duże i wyraziste oczy, zdolność wykręcania głowy aż na drugą stronę ciała, cichy lot i zjawianie się w nocnej porze wywołuje podejrzliwe, a nawet zabobonne ustosunkowanie się człowieka do tych ptaków.

Dokładna jednak znajomość życia sów oraz obserwacje tych ptaków w hodowli najlepiej mogą przekonać jak bezpodstawne są ludzkie przesądy i wrogie nastawienie.

Z. M.

Ciekawy okaz nietoperza.



Poniżej: Głowa nietoperza



REKORDY MIMO WOLI.











„Lift-girl", obsługująca windę w nowojorskim drapaczu chmur (powyżej), przejeżdża w ciągu miesiąca przestrzeń, napewno większą od tej, jaką osiągają balony stratosferyczne (na prawo).



Swego rodzaju rekordzistką w „wysokogórskiej turystyce" jest dozorczyni wielkiej kamienicy (powyżej), której spacery po schodach w ciągu miesiąca, zliczone razem, pokryją trasę wejścia na Mont Blanc (14.430), a w ciągu dwóch miesięcy na najwyższy szczyt Himalajów (na prawo).



Biegła stenotypistka (powyżej) wykonuje w ciągu jednego wieczoru tyle uderzeń dziesięcioma palcami, że mogłaby tem samem wygrać wszystkie dzieła Chopina, choć rzecz oczywista, gra taka byłaby daleka od prawdziwej muzyki (na prawo).



Gospodynie nieraz posługują się trzepaczką z taką wprawą (powyżej), że gdyby raz dostały rakietę do rąk, kto wie, czy w posługiwaniu się nią nie przewyższyłyby mistrzyń białego sportu (na prawo). Trzepiąc dywan, wykonują więcej uderzeń, niż Tilden, grając w ciągu miesiąca w tenisa.



Niewątpliwym rekordzistą jest kelner (powyżej), który obsługując gości w wielkiej kawiarni lub restauracji odbywa w ciągu jednego dnia drogę, często znacznie dłuższą od tej, jaką przebyć ma oddział wojska w forsownym marszu ćwiczebnym (na prawo).



Czy pomyśleliście kiedy, że jeżdżąc codziennie tramwajem do biura, odległego o 5 kilometrów i odbywając tę niewielką podróż po raz drugi w drodze powrotnej — z biura, przebywamy dziennie 10 km, a w ciągu plus minus 300 dni pracy rocznie przejeżdżamy 3000 kilometrów. W ciągu niespełna 14 lat uzbieramy sobie 40.000 kilometrów, czyli odbywamy podróż wzdłuż równika! Podróż wzdłuż równika — tramwajem! Czy to nie brzmi efektownie? Mimowoli zostajemy rekordzistami.

Takich rekordów bijemy bardzo wiele. Nie jesteśmy z nich dumni, gdyż nawet nie zdajemy sobie sprawy, że dokonaliśmy frapującego „wyczynu". Gdy ktoś raz w życiu wdrapie się na wysoki szczyt górski, przechodzi do historji. A listonosz, który codziennie przebiega tysiące, może dziesiątki tysięcy schodów, jest osobistością zupełnie nieznaną i jak to zwykło się mówić — szarą.

A oto szwaczka (na prawo w kole), która szyjąc na maszynie wykonuje w ciągu dnia nogami pracę, równającą się wysiłkowi mistrza w kolarstwie podczas biegu na dystansie 50 kilometrów (obok).





Jeśli ktoś mówi przeciętnie przez godzinę dziennie, w ciągu roku przegada około 400 godzin, a w ciągu 50-letniego żywota ma na swem koncie 20.000 godzin gadulstwa! Teraz wyobraźmy sobie, że ktoś nagrywał wszystkie słówka tego obywatela na 5-minutowe płyty gramofonowe. Zebrałoby się tych płyt blisko ćwierć miljona!

Jakiś wyjątkowo długowieczny gaduła nagadałby może 1,000.000 płyt! Słownie. miljon płyt!

Byłby to fantastyczny rekord. No i — rekord mimowoli. Jestem pewny, że przy odrobinie pomysłowości i cierpliwości, każdy z nas wyszukałby conajmniej kilka dziedzin, w których ustanowił znakomite rekordy. Radzimy spróbować! Będzie to niecodzienna rozrywka i w efekcie da nam miłe samopoczucie, że nawet my, niewysportowane „patałachy", jesteśmy sui generis rekordzistami!...

TAJEMNICZE „POCISKI" Z ZAŚWIATÓW

Kiedy prof. V. F. Hess w roku 1912 odkrył tajemnicze promieniowanie, które zjawia się na ziemi niewiadomo skąd, wywołało to początkowo zainteresowanie głównie wśród fizyków. Dzisiaj raz po raz pojawiają się nawet w prasie codziennej wiadomości o owem promieniowaniu „kosmicznem", jak je nazwano, sądząc, że przychodzi ono gdzieś z zaświatów, czyli z kosmosu. Niema prawie człowieka, któryby nie słyszał o tem promieniowaniu. Przypomnijmy sobie, że przecież wyprawy balonów do stratosfery mają w wielkiej mierze za cel właśnie zbadanie tego właśnie kosmicznego promieniowania. W licznych instytutach naukowych opracowuje się to zagadnienie: buduje się baloniki-sondy, zaopatrzone w aparaty, drobne, ale dokładne, służące do pomiarów tego promieniowania. Niektóre z tych aparatów są tak zbudowane, że same automatycznie podają na ziemię sygnały radjowe, orjentujące badaczy o zmianach natężenia promieniowania w różnych wysokościach. Sondy te dotarły już do wysokości ponad 35.000 m nad poz. morza, a więc tam, dokąd ludzie na krótko nie mają nawet nadziei się dostać. Stratostaty zaś, zbudowane kosztem wielu setek tysięcy, które co pewien czas próbują przeniknąć tajemnicę tych promieni, przyczem odważni naukowcy narażają swe życie — są dalszym dowodem wielkiego zainteresowania świata naukowego tem zagadnieniem.

Już dawno nie było zagadnienia czysto naukowego, któreby tak pasjonowało szerokie warstwy ludności jak właśnie to promieniowanie kosmiczne. Tem więc jest dziwniejsze, że do dziś dnia właściwie nie wiemy dokładnie, skąd ono się bierze, jak powstaje, jakie wywiera skutki itd. Czy ktokolwiek je widział? Słyszał lub poczuł? Nikt, bo człowiek nie ma właściwie żadnego zmysłu, zdolnego odczuć to promieniowanie. A jednak ono istnieje. Gdybyśmy chcieli tu szczegółowo opowiedzieć, jak ono się objawia, to sprawilibyśmy, zapewne, zawód i rozczarowanie tym, którzy „wietrzą" tu jakąś niepospolitą sensację! Bo, cały efekt tych promieni, najczęściej podlegający badaniu, to nic innego jak tylko rozładowanie elektroskopu, przyrządu dosyć pospolitego: oto poprostu jakiś przedmiot, naładowany elektrycznością, znajdując się w powietrzu, traci po pewnym czasie swój ładunek elektryczny. Elektryczność ta znika, mimo, że powietrze w normalnych warunkach nie przewodzi elektryczności. Coś więc musi powodować, że powietrze staje się „nienormalne" i zdolne do przewodzenia elektryczności. Otóż tem tajemniczem „czemś", to właśnie owo słynne promieniowanie kosmiczne, które neutralne cząsteczki gazu rozbija i jak to mówimy, „jonizuje" powietrze, przez co przewodzi ono elektryczność. Takie skutki mogą jednak wywołać także i ciało radjoaktywne. Dlaczego więc przypuszczamy, że to sprawiają jakieś zagadkowe promienie? Tu właśnie dochodzimy do odkrycia Hessa, wspomnianego na wstępie niniejszego artykułu. Stwierdził on, że te rzekome skutki promieniowania ciał radjoaktywnych, znajdujących się w skorupie ziemskiej, bynajmniej nie słabną w miarę oddalenia się od powierzchni ziemi, jak być powinno, lecz przeciwnie, im wyżej się wznosimy w powietrze, tembardziej dają się one odczuwać. To „coś" pochodzi z poza ziemi, ale nie ze słońca, bo w nocy również daje się odczuwać, ani też z planet, tylko z dalekich przestrzeni gwiezdnych. Bliższe badania wykazały, że promieniowanie to jest najsilniejsze z wszystkich dotychczas wogóle znanych: ma ono bez porównania silniejszą zdolność przenikania, aniżeli promienie Roentgena, ba, nawet silniejszą niż promienie ciał radjoaktywnych. Podczas, gdy kilka cm ołowiu zatrzymuje promienie Roentgena, to promienie kosmiczne przechodzą przez płyty kilkumetrowe tego metalu.

Uczeni podejmują specjalnie badania w podziemiach i pod wodą i nawet w głębokości 250 m pod wodą stwierdzili skutki promieniowania kosmicznego. Jest to więc naprawdę coś niepospolitego. A gdy dalsze badania wykazały prawie niezbicie, że mamy tu do czynienia z promieniowaniem cząsteczkowem, czyli korpuskularnem, innemi słowy, że to jakiś grad cząsteczek niesłychanie drobnych bombarduje naszą ziemię, pod postacią tego promieniowania kosmicznego, sensacyjność tego odkrycia stała się oczywista. Wyobraźcie sobie, że ten grad kul przebija wielometrowe płyty ołowiane, że dzięki swej ogromnej energji dokonuje z łatwością tego, do czego ludzie muszą używać skomplikowanych aparatów i wielkich sił, to jest rozbija nawet atomy, powoduje ich transmutację, a więc to, o czem marzyli alchemicy. Ba, okazało się nawet, że to promieniowanie kosmiczne, padając na żelazo lub ołów, rozbija ich atomy, przyczem powstają t. zw. pierwiastki sztucznie radjoaktywne, innemi słowy, t. zw. „sztuczny rad". Badania nad tymi pociskami z zaświatów dały mnóstwo ciekawych wyników. Dzięki nim odkryto dalsze cegiełki, z których zbudowana jest materja, a więc ujawniono istnienie t. zw. dodatnich elektronów, czyli pozytronów, ostatnio znów t. zw. ciężkich elektronów, czyli mezotronów. Co za dziwne asocjacje! Tajemnicze pociski z dali międzygwiezdnych pozwalają na poznanie budowy najmniejszych cząsteczek materji!

Ileż to sobie nałamano głowy, aby wyjaśnić, skąd się bierze to tajemnicze promieniowanie! Przypuszczano więc, że są to jakieś ślady i resztki z „kuchni astralnej", że te cząsteczki powstają wtedy, gdy na jakiejś gwieździe atomy ulegają rozbiciu, przyczem materja zamienia się na energję świetlną i odwrotnie, gdy z promieniowania powstaje materja. A więc te korpuskuły kosmiczne to niebylejacy goście, to świadkowie nieustannego procesu powstawania nowych światów i zanikania starych.

Pojawiła się ostatnio nowa teorja o pochodzeniu tajemniczego bombardowania. Ma ono powstawać rzekomo na zewnętrznych krańcach atmosfery, a zatem pochodzić zaledwie z odległości kilkuset kilometrów nad ziemią, a nie z przestrzeni międzygwiezdnych. Ale ta teorja chwilowo nie cieszy się zbytniem powodzeniem: nie tłumaczy ona jeszcze wszystkich zjawisk. Narazie więc uczeni skłonni są przypuścić, że mamy do czynienia raczej z przybyszami z zaświatów.

Tak czy owak, faktem jest, że cząsteczki te są obdarzone olbrzymią energją. Najsilniejszy pocisk armatni jest niczem w porównaniu z takim elektronem, pędzącym z niebywałą szybkością. Szczęściem cząsteczki te są bardzo drobne, innemi słowy, mają małą masę, inaczej zmiażdżyłyby wszystko, co napotykają na swej drodze. Niemniej jednak taki nieustanny deszcz przenikających głęboko bryłek, jeśli się tak można wyrazić, nie pozostaje bez wpływu na wszystko, co się na naszej ziemi dzieje. Pod tym względem najrozmaitsze wysnuto przypuszczenia: jedni powiadają, że to właśnie nieustanne bombardowanie jest przyczyną wielu schorzeń i przedwczesnej śmierci organizmów roślinnych i zwierzęcych, a zatem i człowieka. Bo według jednych badaczy w ciągu 24 godzin przebija organizm ludzki 50 miljonów tych tajemniczych strzał, według innych około 50 razy mniej. W każdym razie jest to dosyć, aby odegrać jakąś rolę w życiu człowieka! Bo weźmy pod uwagę, że promieniowanie kosmiczne obdarzone jest 10.000 razy większą energją, aniżeli promienie Roentgena, a wszyscy wiemy, co potrafią zdziałać promienie Roentgena. W wielu wypadkach działają one leczniczo, stosowane zaś nadmiernie są niesłychanie niebezpieczne.

Czyż można się dziwić, że tego rodzaju promieniowanie stanowi stałą sensację pism naukowo-popularnych? Że się niemi interesują masy, którym zazwyczaj obojętne są zagadnienia fizyki nowoczesnej? W Ameryce, kraju wszelkich możliwości, kraju wiary w najazd marsjan znalazł się nawet duchowny, który na własnej osobie przeprowadził doświadczenie z promieniami kosmicznymi. Twierdzi on, że tym promieniom zawdzięczać należy wzrost roślin i zwierząt. (Dotychczas w nauce mówiło się o wpływie promieni słonecznych na wzrost roślin). Otóż jeśli tak jest w istocie, to czy nie możnaby znaleźć sposobu, aby wogóle obyć się bez pokarmu roślinnego lub zwierzęcego i zdać się na łaskę tej nowoczesnej manny niebieskiej w postaci promieni kosmicznych? Przecież postęp techniczny polega w znacznej mierze na wyodrębnieniu w czystej postaci czynnika istotnego i zastąpienia pośredniej drogi naturalnej o wiele krótszą, bezpośrednią. — Weźmy np. takie witaminy: odkryto, że są one niezbędne dla życia, że chronią przed wielu chorobami itd., że znajdują się w wielu środkach żywności w minimalnej zresztą ilości. Cóż zrobili chemicy? Wyodrębnili te witaminy i dziś zamiast pić tran czy jeść marchew, można w skrócony i o wiele intensywniejszy sposób zaopatrzyć się w te witaminy. Niektóre nawet wyodrębniono w postaci kryształów chemicznie czystych. Inny przykład: dawniej otrzymywało się różne barwniki z rozmaitych organizmów roślinnych i zwierzęcych. Dzisiaj te same lub jeszcze lepsze barwniki otrzymuje się bezpośrednio i w czystej postaci. Posunięto się przecież nawet tak daleko, że zamiast korzystać z zamagazynowanej i zakrzepłej w węglu kamiennym energji słonecznej z przed wielu tysięcy lat, używa się w niektórych krajach tropikalnych wprost energji słonecznej do ogrzewania kotłów z wodą i wytwarzania pary, potrzebnej do napędu maszyn. Nie można się więc ostatecznie dziwić temu pastorowi amerykańskiemu! Miał on zresztą już wprawę w głodowaniu. Przez rok żywił się samym sokiem pomarańczowym, poczem rozpoczął post 22-dniowy, w ciągu którego żywił się tylko tem, co musiał spożywać w związku z obowiązkami liturgicznymi. Skończyło się to dość tragicznie: musiano go przewieźć do szpitala i tu wreszcie przyszedł do siebie. Eksperyment nie dał więc pozytywnego wyniku.

Dokończenie na str. 31-ej.

Światła w zamku

JAN SZARY

NOWELA

Małe podgórskie miasteczko, w którem owego roku spędzałem wakacje nie było bynajmniej ciekawe. Jedyną jego zaletę stanowiło zupełne odosobnienie spowodowane złą komunikacją, jedyną zaś atrakcją wielki renesansowy zamek, zdaleka widoczny w swej wyniosłej samotności ponad karłowatymi domkami i imponujący mimo przykrego piętna posuwającego się zniszczenia. Widziałem go z okna mego pokoju — był to jeden z tych olbrzymów, noszących wszystkie piętna swej epoki, które dziś zamierają powoli, skazane na zagładę przez bezwzględność nowych warunków życia, do których nie mogą się dostosować. — W dzień zamek robił wrażenie niezamieszkałego — żaden objaw życia nie zakłócał jego posępnego spokoju, zauważyłem jednak ze zdziwieniem, że wieczorem pali się w nim światło, słabe, jakgdyby pochodzące od świec. Rzecz ciekawa: oświetlone były stale te same dwa okna na pierwszem piętrze po jednem w dwóch przeciwległych skrzydłach budynku. Oddzielający je długi rząd szarych szyb był stale ciemny i wyglądało na to, że owe dwa światła oznaczają dwie odrębne egzystencje, nie komunikujące się ze sobą, żyjące każda swem własnem zamkniętem życiem. Patrząc, zastanawiałem się często, dlaczego w tym wielkim pustym zamku ludzie zmuszeni tam mieszkać, nie szukają nawzajem u siebie schronienia przed samotnością, raczej wydaje się — umyślnie odgrodzili się od siebie, jakgdyby nie chcąc się spotykać. Co skłaniało ich do takiego odseparowywania się, a przedewszystkiem — kim byli?... Nie chciałem się pytać, podświadomie pielęgnowałem w sobie nastrój jakiejś romantycznej tajemnicy, która zdawała się kryć tutaj. Bałem się, że rzeczywistość okaże się zbyt banalna, a cóż milszego, jak stwarzać dla swej fantazji pozory rzeczywistości... Wyjaśnienie tajemnicy przyszło niespodziewanie. Pewnej nocy zbudziło mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi — rzecz zwykła dla mnie — lekarza, lecz na wywczasach conajmniej nieprzyjemna. Na progu stanął mężczyzna o miłej powierzchowności i kulturalnym wyglądzie. — Jestem major L. — przedstawił się. — Czy zechce pan udać się ze mną do kogoś, kto potrzebuje pańskiej pomocy? — Za chwilę byliśmy już w drodze, a jakież było moje zdziwienie, gdy przekonałem się, że celem naszej wędrówki jest zamek. Noc była chmurna i bezwietrzna. Na tle nieba rysowały się ostro ciemne kontury wież, w dwóch przeciwległych oknach pierwszego piętra migotało światło. W ogromnej sklepionej sieni, do której wpuścił nas przygarbiony człowieczek, spełniający tu funkcje służącego i mieszkający w pobliskim domku, panował chłód. Z sufitu i ścian zwisały pajęczyny, a czerwonawe lśnienie latarni wydobywało z mroku niewyraźne zarysy wiszących na ścianach tarcz i fragmentów uzbrojenia. — Pan hrabia czuje się bardzo źle — szepnął służący do ucha memu towarzyszowi. Ogarnęło mnie zdziwienie, nie mogłem powstrzymać się od pytania: „Więc mieszka tu właściciel tego zamku?" — „Tak" — odparł krótko major. — „On i jego żona". — Weszliśmy na pierwsze piętro i znaleźliśmy się w jednej z tych wielkich nieoświetlonych sal, których ciemne okna oglądałem tylokrotnie zdołu. Sala ta należała do długiej amfilady pokoi, noszących piętno opuszczenia i zaniedbania. Stąpaliśmy po podłodze pokrytej kurzem. W świetle latarni widać było piękne ciężkie renesansowe meble, nigdy nieruszane z miejsc i tchnące martwotą rzeczy nieużywanych i niepotrzebnych. Przeszedłszy kilka pokoi, zatrzymaliśmy się przed zamkniętemi drzwiami, które mój przewodnik cicho otworzył. Ukazał się duży pokój, inny od poprzednich, ciepły, rozjaśniony refleksem ognia, płonącego na kominku i noszący znamiona stałej obecności człowieka. W kręgu światła wielkie rzeźbione łoże odbijało białą plamą pościeli od ciemnego tła gobelinu, którego rysunek zacierał się ku górze w mroku. Człowiek spoczywający na łóżku miał około lat pięćdziesięciu. Był blady i wyczerpany. Przeszedł on ciężki atak sercowy, nie pierwszy już zapewne, długi i wyczerpujący, nazbyt niebezpieczny, by nawet największy optymista mógł tu robić nadzieję. Spełniając swoje czynności lekarskie, przyglądałem się dyskretnie twarzy mego pacjenta, zastanawiającej ciekawym swym wyrazem. Była to twarz człowieka zapamiętałego w długiem cierpieniu, wyzbytego już dziś z wszelkiej woli życia. Piętno wewnętrznej walki, żłobiącej na niej ostre rysy, nie zdołało jednak w zupełności zatrzeć kobiecej niemal miękkości ust człowieka o słabej woli i nieobliczalnych porywach. To był on. A ona? Powiedziano mi przecież, że hrabia mieszka tu z żoną. Rozglądałem się po pokoju napróżno, szukając śladu kobiecej ręki, czy jakiegoś drobiazgu, któryby zdradzał jej obecność. Zobaczyłem tylko portret kobiety. Wisiał przed łóżkiem w ten sposób, by oczy leżącego padały nań pierwszem spojrzeniem po przebudzeniu i ostatniem przed zaśnięciem. Twarz chłodna i gwałtowna zarazem, o dumnych namiętnych ustach, piękna tą niecodzienną urodą, polegającą raczej na uroku spojrzenia i zmiennego wyrazu, niż na regularności rysów.

Hrabia zasnął po zastrzyku. Cicho wyszliśmy z pokoju, by obok czuwać nad nim. Kim była ta kobieta? Czyżby to ona stanęła pomiędzy hrabią a jego żoną, wydawało mi się bowiem teraz jasnem, że to hrabina zajmowała ów samotny pokój w przeciwległem skrzydle zamku. Starłszy kurz z krzeseł ulokowaliśmy się w sali obok i zagłębiliśmy się w zadumie. Po chwili mój towarzysz, jakgdyby snując głośno dalszy ciąg swych myśli, rzekł: — I oto mamy przed oczyma ostatni etap dziwnej naprawdę historji, tak niepojętej, jak niepojęte są dla przeciętnego obserwatora wielkie namiętności i ich objawy. Sądzę, że dobrze zrobię, opowiadając ją panu. Wygląda pan na człowieka, który umie wiele dostrzegać. Dla nas, ludzi myślących, obserwowanie prawdziwie wielkich namiętności jest niemal tyleż warte, co zetknięcie się z prawdziwą świętością, która jest zaparciem się ich. Jedno i drugie wraca nam wiarę w wielkość człowieka, wznosząc go ponad codzienną przyziemność zwyczajnego, płytkiego przeżywania. Jedno i drugie wymaga wyłączności i poświęcenia się, a bywa czasem ciężarem przerastającym siły.

Hrabia należał do jednej z tych arystokratycznych rodzin, w których łatwość życia i graniczące z degeneracją „czystość rasy" stają się przyczynami powstawania typów o psychice w pewnym kierunku przerysowanej, anormalnej w stosunku do wymagań i warunków zwykłego życia. On i poprzednie pokolenie byli to ludzie skłonni do wybryków i ekscesów ponad wszelką miarę, ludzie, którzy dusili się w ciasnym kręgu normalnego życia, poszukując zawsze silnych wrażeń, choćby najniższego gatunku. Fama na temat ich kaprysów rozchodziła się szeroko. Hrabia Aleksander, dziedzicząc niepraktyczne i fantastyczne usposobienie swego ojca, stryja i dziadka, niestety nie odziedziczył już wielkiej fortuny, która nie wytrzymywała rabunkowej gospodarki rządców i szerokiej ręki gospodarzy. Dostał zamek i mały majątek, który rujnowały zabawy i pijatyki, jakie urządzał dla swych towarzyszy. Byli to wszystko ludzie marni o złej reputacji, którzy wisieli przy jego kieszeni i wygrywali dla swoich celów jego nieobliczalność i dziecinne zuchwalstwo. Jeżeli on sam miał jeszcze jakieś szanse zreflektowania się, oni robili wszystko, by je mu odebrać. Mimo, że byliśmy przyjaciółmi, nie miałem na niego wpływu, czułem zresztą może jego przewagę nad sobą, byłem bowiem w wieku, kiedy nieobliczalność i szaleństwa imponują. Nagle jednak on sam zaczął się niespodziewanie zmieniać. Zauważyłem, że stał się spokojniejszy, starał się unikać swych towarzyszy, równocześnie zaś czułem, że trawi go jakiś niepokój, że walczy wewnętrznie z nieznanym mi problemem, którego nie może rozstrzygnąć. Pewnego dnia powiedział mi wprost: — Żenię się. Osłupiałem. Pamiętam, że pokrywając zdumienie, roześmiałem się wtedy. — Twoja żona musi być chyba istotą nader pobłażliwą — powiedziałem. Zbladł i chwycił mnie za rękę. — Czy sądzisz, że nie potrafię się zmienić? — spytał gwałtownie. — To zależy — odpowiedziałem. — Nie wiem, kim

ona jest, sądzę jednak, że twoja sława zabijaki i postrachu mężów musiała do niej dotrzeć i że wie, czego się może spodziewać. — Zreflektowałem się, widząc, jak niespodziewane wrażenie robią na nim moje słowa. Patrzył przed siebie z determinacją niemal rozpaczliwą. — Mylisz się — powiedział wreszcie powoli. Ona nie jest bynajmniej pobłażliwa. Ona mi wierzy. Jest prawa i czysta. Pochodzi zresztą z całkiem zwykłej rodziny, mimo, że ma naturę arystokratki. Rodzina jej sprzeciwiła się gwałtownie naszemu małżeństwu — właśnie dzięki tej mojej sławie — dokończył z ironją. Zamilkł na chwilę. Przysiągłem jej — rzekł cicho — że stanę się innym człowiekiem, a ona przysięgła, że nie opuści mnie nigdy. I ja tego dotrzymam — krzyknął niemal.

Poznałem ją w miesiąc później i zdjęło mnie przerażenie na widok tych dziwnych oczu pełnych namiętności, a zarazem twardych, czystych i nie znających przebaczenia. Przeczuwałem jej duszę gwałtowną, skłonną równie do ogromnego uczucia, jak bezwzględnego w okrutnej prostolinijności jej pojęć potępienia. Ich miłość była wielka. Łączyły ich owe nierozerwalne więzy, skuwające dwoje ludzi splotem wszystkich uczuć, wszelkich drgnień ciała i duszy.

Młodzi zamieszkali w zamku. Musiałem wówczas wyjechać zagranicę, nie było mnie dwa lata, a kiedy wróciłem, zastałem Aleksandra zmienionego, ale inaczej niż chciałem się tego spodziewać. Wysechł, oczy mu zapadły, tlił w nich bunt, odblask wewnętrznej walki, wyczerpującej i beznadziejnej. Nie mówił nic, ja zaś wiedziałem wszystko.

W jej twarzy także była determinacja i napięcie jakiegoś utajonego oczekiwania. Myślę, że czasem budziła się po nocach i nadsłuchiwała jego oddechu, by upewnić się, że jest jeszcze przy niej. Ona też znała go już i wiedziała. Był zbyt mały i słaby na to wielkie zobowiązanie, którem się skrępował. Ciężar wielkiej namiętności przygniatał go już. Żywotność jego natury, niespokojnej i szukającej wciąż nowych wrażeń buntowała się przeciw temu, co ograniczało ją, wymagając ciągłych ofiar. Dusił się. Rozumiał jednak, że w tej sytuacji kompromisu niema, a przecież kochał ją ciągle. Czułem, że katastrofa musi nastąpić lada dzień.

I tak się stało.

W jakiś miesiąc potem, a była ostra zima, wracając do domu późnym wieczorem, natknąłem się na pijany kulig, złożony z kilku par sanek. Poznałem dawne towarzystwo Aleksandra. Było tam też parę aktoreczek z przejezdnego teatrzyku. Wśród tego wszystkiego on sam — pijany, nieprzytomny, twarz zczerwieniała, bezmyślnie radosna. Śpiewał na całe gardło, wymachując ręką — drugą obejmował blondwłosą rozczochraną towarzyszkę, wtórującą mu ochrypłym głosem. Ludzie stawali, patrząc na nich z otwartemi ustami. Jednym skokiem znalazłem się w jego sankach, zatrzymałem je i wyprosiłem niebardzo przytomną kobietę, poczem kazałem zawracać do zamku. Czy pan sądzi, że w małem miasteczku podobny wypadek długo mógł się ukryć? Gdy zajechaliśmy, ona już wiedziała. Zamknęła się w swoim pokoju. Napisała mu nazajutrz, że nie chce go widzieć na oczy. „Przysięgłam, że cię nigdy nie opuszczę, i tego dotrzymam". Dlatego tylko nie odeszła, została, skazując się na klasztorne zamknięcie; przy nim, ale zdala od niego. Usiłowałem pośredniczyć. — Nigdy! — powiedziała. Oczy jej były martwe i suche. Aleksander — może to się panu wyda dziwnem — nie próbował nawet jej przebłagać. Znał ją zbyt dobrze, by wiedzieć, że to, co zaszło, było nieodwołalne. Wydawałoby się, że wystarczyłoby mu przekroczyć tych parę pokoi, by zobaczyć ją znowu, wrócić do tego, co było szczęściem. Ale jemu nie wolno było tego zrobić. Od tylu lat życie jego było jedną tęsknotą, trwaniem w pokutniczej samotności. Zdziwaczał, zamknął się w sobie, załamał się tak bardzo, że stracił wszelką wolę życia. Dziś to jest już inny człowiek. Gdyby ona nie była tak okrutna dla niego i dla siebie, zrozumiałaby, że odpokutował już dawno swoją winę, przekreślając zupełnie swoje dawne „ja". Ona jednak nie potrafiła zapomnieć.

Zamilkł. Pogrążyliśmy się w zadumie. Mijały zwolna godziny, a kiedy na szarych szybach zaczął blednąć świt, z pokoju obok rozległ się cichy jęk. Zerwaliśmy się obaj.

Hrabia siedział na łóżku i trzymając się za serce, chwytał ustami powietrze.

— Prędko — wyszeptał gwałtownie. — Zawołajcie ją. Powiedzcie jej, że to koniec, że to jedyny i ostatni raz...

— Zapanowała cisza, dzwoniąca mi w uszach brzęczeniem muchy na coraz jaśniejszych szybach. Wtedy od strony pustych pokojów doszedł nas cichy odgłos prędkich, lekkich kroków. My, trzej mężczyźni słuchaliśmy, drżąc wewnętrznie. Kroki zbliżały się, budząc echo w kamiennych sklepieniach pustych sal. Drzwi otworzyły się cicho i gwałtownie. Stanęła w nich kobieta wysmukła, z podniesioną wysoko głową — kobieta z portretu, z twarzą zmienioną wiekiem i cierpieniem. Te same płonące oczy, ale rozszerzone w jakimś okropnym bolesnym wyrazie. Bez słowa podbiegła do łóżka i klękła przy niem w ciężkich fałdach ciemnej, sztywnej sukni. Ujęła jego białą, bezsilną rękę w swe drobne ciemne dłonie... Spojrzeli sobie w oczy długiem, najgłębszem spojrzeniem, jakgdyby w nawrocie do jakiejś pięknej chwili, od której dzieli zaledwie kilka uderzeń serca. Jego usta poruszyły się.

— To był zły sen... zły sen — szepnął.

Położył rękę na jej pięknych, siwiejących nieco włosach. Mijały chwile. Powoli spojrzenie jego zaczęło się robić łagodniejsze, coraz bardziej przejrzyste... wygładzały się ostre zmarszczki i wyżłobienia w kątach ust. Ociężała nagle ręka ześlizgnęła się na pościel... W ciszy rozległ się głęboki, przejmujący krzyk kobiety, która osuwając się z kolan upadła czołem na ziemię.

Dniało...

Dokończenie ze str. 8-ej.

wielkiego przyjaciela Polaków Towarzystwo Polsko-Brazylijskie w Warszawie, krzewiące zbliżenie kulturalne między naszymi krajami przyjęło nazwę „im. Ruy Barbosa".

Syn prezydenta p. Joao Ruy Barbosa (imię ojca wcielił brazylijskim zwyczajem do swego nazwiska) był z tej już choćby racji predystynowany do pracy na terenie warszawskim. Był on poprzednio sekretarzem ambasady brazylijskiej w Waszyngtonie, gdzie właśnie poznał swoją małżonkę. W r. 1935 przeniesiono go do Pekinu, gdzie mieszkał zgórą dwa lata, z tego rok, jako chargé d'affaires a . i. W r. 1937 wrócił do centrali M. S. Z. w Rio de Janeiro, jako szef protokółu dyplomatycznego. Na tem stanowisku pozostał aż do chwili uzyskania nominacji do Warszawy.

Mieszkanie państwa Ruy Barbosa jest jednem wielkiem muzeum sztuki chińskiej. Lampy wiszące oprawione są w ramy oryginalnych lampjonów chińskich, na ścianach obrazy i makaty chińskie, portrety dawnych mandarynów i ich żon, krajobrazy i przedziwne tkaniny. Wiele parawanów i waz o bezcennej wartości. Najrzadsze dywany chińskie o wymyślnych wzorach i deseniach.

Przytoczę tylko kilka najrzadszych okazów: jest tam więc parę stołów wspaniałej roboty, a wszystkie okrągłe, według chińskich zwyczajów. Jeden z nich, z nowszych czasów, zwraca uwagę połyskującą czernią ciemnego hebanu. Drugi, prastary, z palisandru, jest niski, bo siadano przy nim „po turecku" a raczej „po chińsku"... Na stole stoi starożytna waza mongolska z epoki Szuaj-ting. Zdobią ją misternie rzeźbione kwiaty i liście sztuczne z laki. Waza pochodzi z czasów dynastji Mingów, a więc z przed pół tysiąca lat.

Dalej zauważamy sześcioramienny parawan, a przed nim waza z epoki Czien-lun-gów (XVII w.) z abażurem. Tuż obok pokryty zieloną platyną puhar, pochodzący aż... z epoki bronzowej....

W pokoju stołowym podziwiamy wielkie „panneau" z papieru o impresjonujących malowidłach z pałaców dynastji Mingów, za której panowania w sztuce chińskiej przypada renesans sztuki chińskiej.

Tuż obok wspaniały okaz muzealny: posąg „Buddy pomyślności" z świątyni Lamy w Pekinie. Dokoła świeczniki, z których dwa z pekińskiej „Świątyni nieba", utrzymane w osobliwie zielonej barwie, jedynym w swoim rodzaju odcieniu, który potrafili wytworzyć tylko mistrze cesarzów z rodu Mingów. To też odcień ten nazywa się „vert Ming". Że wspomnianej świątyni pochodzą także misterne figurynki, posążki śpiewaczek świątynnych.

Po pięknie wzorzystym dywanie z prowincji Szan-si kroczymy do następnego pokoju, gdzie w osobliwym schowku chroniony jest skarb może najcenniejszy — kubek cesarza z dynastji Han, współczesnej... Juljuszowi Cezarowi. Jest on wykopaliskiem: podczas najazdu Mandżurów zakopywano w ziemię co najcenniejsze skarby, zwłaszcza naczynia, uświęcone używaniem ich przez cesarskie ręce.

Świeżo przyniesione kwiaty — a niema dnia, by pani Ruy Barbosa ich nie dostawała — układa się właśnie w mej obecności w prześlicznej wazie, liczącej sobie ogrągły tysiąc lat życia — własność jednego z cesarzy z dynastji Sung.

Wszystkie okazy mają swe „dokumenty". Zresztą widzimy w specjalnych katalogach ich dokładne fotografje i szczegółowy opis.

W przytulnem "home" z al. Przyjaciół bywa u państwa domu mnóstwo przyjaciół. Niema dnia, by nie był tu jakiś „lunch", „cocktail-party", lub „dinner". A jeżeli nie przyjmują u siebie, znaczy to, że państwo są proszeni na mieście.

W wolnej chwili można zastać panią Cecylję przy książce, rysunku, który kreśli, lub przy lekcji języka polskiego. Przy wszystkiem zaś asystuje jej ulubione kociątko.

— Iloma językami pani włada? — pytam.

— Angielskim, jako ojczystym, włoskim, jako pochodzeniowym, portugalskim, jako mężowskim, chińskim, bo brałam lekcje w Pekinie i choć nie umiem pisać i czytać, bo tego trzeba się uczyć latami, to jednak rozmówić się potrafię doskonale. A już wkrótce będę mówiła z panem po polsku. — Z urodą łączy p. Ruy Barbosa, jak widać, niezwykłe zdolności lingwistyczne.

H.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE
W SEZONIE ŁOWIECKIM



U pp. Jaroszów, właścicieli Truskawca, odbyło się ostatnio w Bilczy piękne polowanie, w którem wzięli udział m. in. wojew. lwowski dr Biłyk, państwo dyr. dr Romanostwo Jaroszowie, hr. Juljusz Bielski, prezes M. P. Ł. i wielu innych. Fot. H. Springer, Drohobycz.

JUBILEUSZ ZASŁUŻONEGO ARTYSTY



Wacław Nowakowski, świetny artysta sceny polskiej, reżyser i dyrektor artystyczny krakowskiego teatru w latach ubiegłych — którego gościły w okresie jego artystycznej twórczości wszystkie wielkie sceny Polski, obchodzi w tych dniach swój jubileusz na deskach krakowskiego przybytku Melpomeny. Jubileuszowe uroczystości dadzą społeczeństwu możność wyrażenia jubilatowi swego szczerego uznania.

ZA KULISAMI TEATRU KAMERALNEGO



Artyści warszawskiego Teatru Kameralnego podczas próby farsy „Dom warjatów", którego premjera odbyła się w Sylwestra ub. roku. Fot. Foto-Forbert, Warszawa.

SUKCESY ZNAKOMITEJ ŚPIEWACZKI



Wanda Wermińska, która nietylko w Polsce, ale w całej Europie zyskała niejeden zasłużony sukces, wystąpiła ostatnio w poznańskim Teatrze Wielkim w trudnej roli Marty w operze D'Alberta „Niziny". Publiczność poznańska przyjęła swoją ulubienicę entuzjastycznie, darząc ją za wspaniały śpiew i świetną kreację sceniczną długotrwałymi oklaskami.

Fot. Van Dyck, Warszawa.



Z TEKI MYŚLIWEGO:

Dwuznacznik

FELIKS DANGEL

— Czy gospodarz polowania, może nie wziąść w obronę gościa swego, gdy go inny dżentelmen obraził?

Pytanie padło nagle, niespodziewanie w błękitnej atmosferze gabinetu, nad którą unosił się dym tytoniowy i którą cechowało miłe, pełne odpoczynku odprężenie po całodziennem polowaniu.

Wszyscy zwrócili się ku rotmistrzowi, który w sprawach honorowych uważany był za „speca", a który, jak mawiano, obchodził niedawno „jubileusz" 50 sprawy honorowej, w której przewodniczył.

Rotmistrz wycedził tylko słowa:

— Nie powinien... to jest właściwie musiałby!

— „Nie powinien, musiał", a ja panom powiem, że nie mógł i wszyscy by za złe wzięli, gdyby wtedy się ujął. Ktoś został obrażony w jego lesie, pod jego omal że dachem, a wszyscy aprobowali to milczeniem.

— To ciekawe... Słuchamy!

— Tydzień temu otrzymałem depeszę: „Ponowa — dziki otropione". Więc pojechałem. Rewiry łowieckie księcia ordynata, może nie tak bogate w czarną zwierzynę, ile w przeczarowną pierwotność kniei, dają maximum satysfakcji, której darmo by się doszukiwać w bogatszych nawet dziczych rozkładach w zachodniej Polsce. To knieja dla prawdziwego venatora. Las zwarty, świerkowy przechodzi w gotycką kolumnadę boru, o drzewostanie omal, że nietkniętym, by znów przejść w olchowe zagajniki, sam już nie wiem kiedy czarowniejsze... latem gdy pachną balsamem błot, czy zimą pod okiścią.

A sam nastrój, w kompanji zawsze doborowej!

No i sam kraj. Pierwotna bajka, bajka o młodej ziemi.

— Poetyzujesz!

— Tak, może. Przepraszam za dygresję, ale właśnie na tle tego niekłamanego piękna przyrody... epizod ten, o którym mówić miałem, wyda się wprost obrzydliwym.

Zjechała cała kompanja z dawnych lat znana mi z kniei. Zaproszono też kogoś z miejskich władz, kogoś kto czuł się w naszym towarzystwie nieswojo, a jak się potem okazało, wogóle nie był myśliwym. Robił wrażenie człowieka, który cierpiąc na atonię kiszek zaproszonym został na świeże śliwki. Ale nie o nim będzie mowa. Ten ktoś (pozwolicie, że nie wymienię nazwiska), ten „bohater dnia" to był człowiek, o którym najmniej można się było spodziewać... wprost skandalu. Jakiś ziemianin z centralnych województw, gładki, układny, uchodzący za myśliwego. Może trochę z tego gatunku myśliwych, którzy, rekordy bażancie, strzelane w parkach, najbardziej sobie cenią, ale zawsze dawał pewną rękojmię. Zwracał uwagę już od początku, gdy z sań wyskoczył.

Elegant!

Pod futrem, o wspaniałym jakimś kołnierzu, nieskazitelny dress, buty nowiutkie, błyszczące jak samowar, sznurowane z francuska, kapelusz z piórkiem, łosiowe rękawice, cały pachnący „Paris Soirem". No a broń, powiadam wam... cudo! Gdy zaczął, z żółtych futerałów skórzanych, dobywać swój „express", to bractwo spojrzało po sobie, a ci, co mieli jakieś kurkówki do „dżakanów" schowali się w tył zawstydzeni.

Prezencja, ukłony, przy których sprezentował nam jeszcze złote zęby i wspaniały jedwabny krawat, makaronizując, dał do zrozumienia, że biegle włada francuskim i pojechaliśmy w las.

— Cóż to za żurnal mód i piękności, proszę księcia? — zagadnął ktoś ordynata, i wtedy się okazało, że to familjant, że człowiek wielkiego świata, na sposób zachodni i że z nieboszczykiem Potockim po świecie polował.

— A no, bardzo możliwe, że żubry bił, bo nawet przy kurtce dźwigał wspaniały kordelas, świecący jak wystawa jubilerska, taki zresztą, jakich już u nas nie używa się wcale.

— Czy będziesz pan sam kłuł dzika? U nas zawsze dobija starszy strzelec.

— Voila! Właśnie na tym cały sport polega. To jest to, o czem by Anglik powiedział „afectionable". Tak zresztą polują na zachodzie.

Dwa mioty przeszły bez emocji.

Na księcia ruszyła locha z młodymi, ktoś położył przezimka, do stu kilo ważącego, ktoś spudłował do lisa. Nie dziwota. Walił w niego kulą z Mauzera, w pełnym biegu.

— Lochę miałem o 30 kroków, a odyńca nie było — ktoś zauważył.

— Będą w 21 kwartale... jedziemy panowie.

I tam w 21, stanąłem opodal eleganta.

Nagonka ruszyła, las przyczaił się i zamarł. Naprzeciw mnie z furkotem przeleciał jarząbek i zginął w świerszczynie. Sam stary Juszkiewicz prowadził, od czasu do czasu korygując linję trąbką.

Aż w pewnej chwili zakotłowało się.

Tuż naprzeciw mnie podenwały się krzyki i wrzask nagonki. Trąbka zaśpiewała triumfalnie.

Dziki w miocie!

Za chwilę w gąszczarku widzę sunące cienie.

Dwa, trzy siedem...

Są, ale idą gromadą, skłębiają się i wyszukują drogę. Sznurkiem kolebiąc się rytmicznie... idą. Widzę dokładnie całą gromadę i uważam pilnie z bronią u twarzy. Locha i młode. Ostatni będzie odyniec. Weszły w gąszcz, więc ciągle mierząc uważam. A wtedy padł strzał. Nie ja strzeliłem... mój sąsiad, elegant.

Stado przechodzi w galopek, mija mnie w lewo i nie widzę już nic. A właściwie... widzę. Stara locha utknęła w śniegowisku, opiera się na przodzie, ale nie może już iść.

Uważcie panowie — locha! Locha od młodych.

I wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Ten frant pali drugi raz i chybia. Wziął za nisko, kula zryła śnieg.

A potem... potem, doskoczył do niej z kordelasem i zaczął ją dźgać. Mógł strzelać ponownie, ale czy oszalał, czy też, chciał mieć ten efekt... angielski? Uderzył raz, drugi. Zwierzę charknęło i krwawi dokoła, cofając się resztą sił. A on ją nożem operuje dalej!

Wtedy nadeszła naganka i stary Juszkiewicz widząc, co się święci, podbiegł i ze swej dubeltówki, palnął jej w łeb. A potem podszedł do zwierzęcia, obejrzał je dokładnie i patrząc wprost w twarz eleganta powiedział:

— Świnia!

Był przy tem i książe i my wszyscy.

I nikt się nie obruszył, nie skarcił starego.

Można to było wziąść, jako ocenę zabitej sztuki.

— Tak, zapewne, ale my wszyscy wiedzieliśmy dobrze...

Rotmistrz zapalił papierosa.

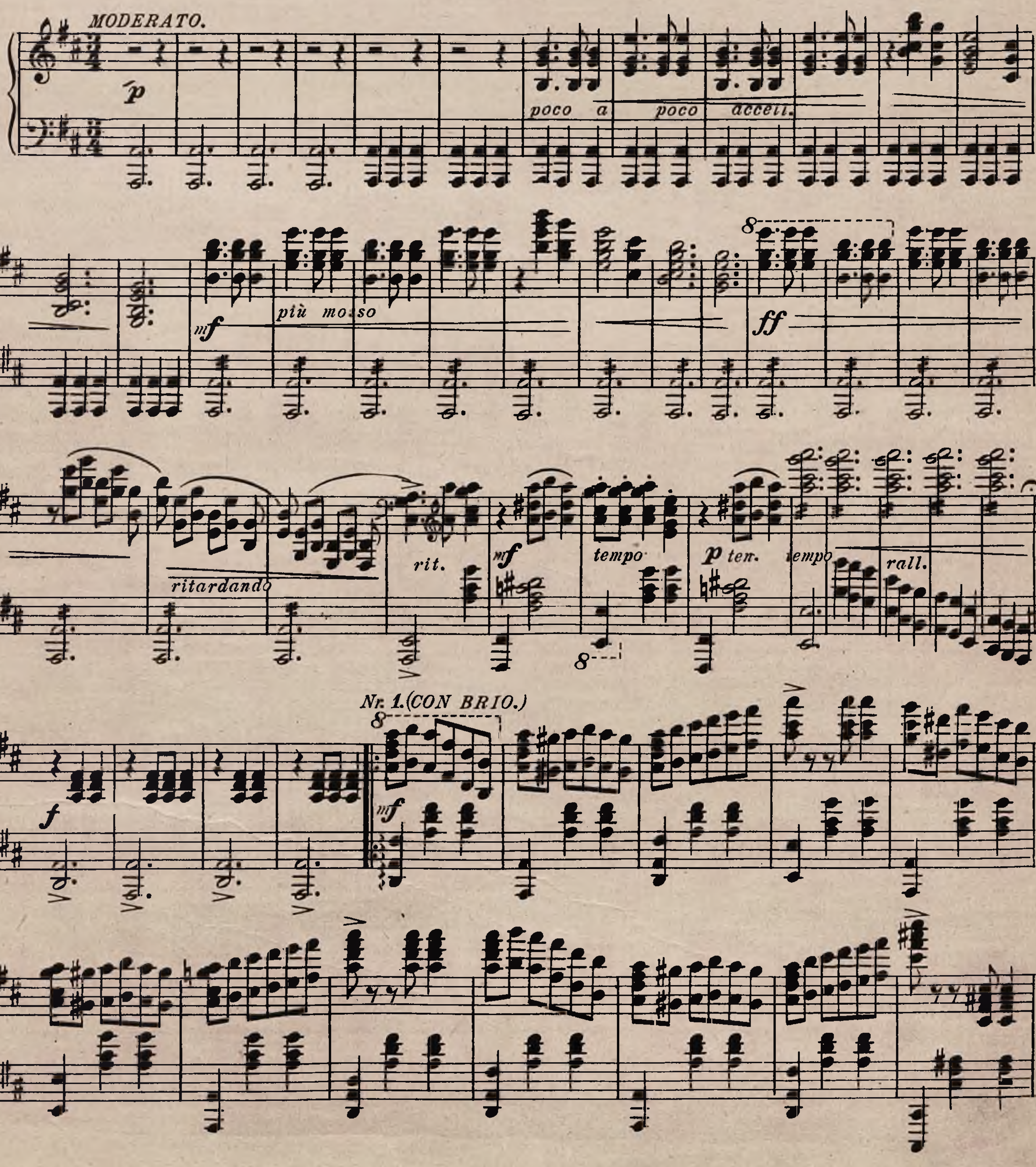
Czekano od niego, jako od znawcy spraw honorowych wypowiedzenia się w sprawie. Ale on strzepnąwszy popiół, jak echo powtórzył tylko:

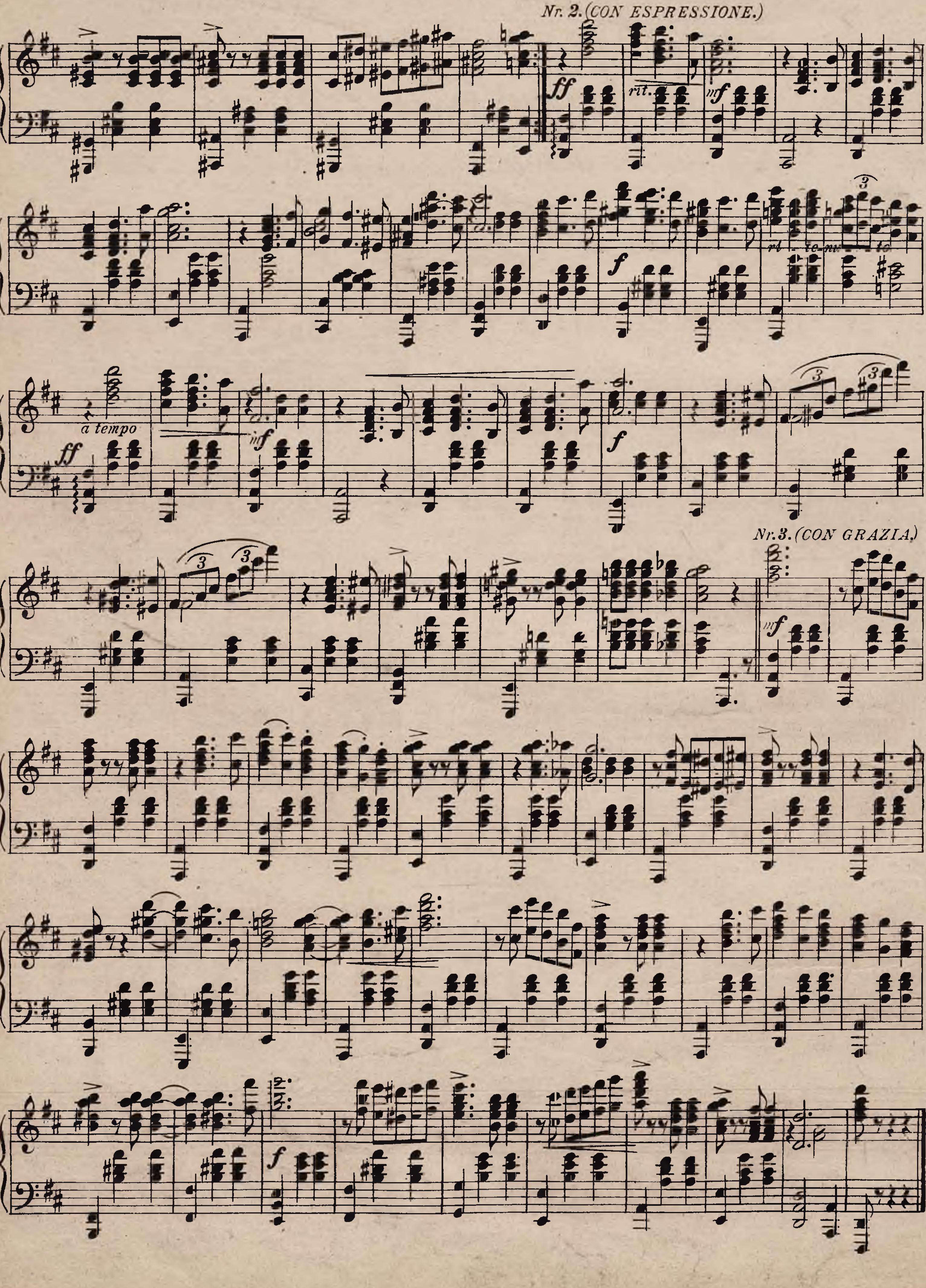
— Tak... świnia!

Prince Carneval

Fragment walca wiedeńskiego, napisanego na Bal Prasy w r. 1924

JULJUSZ LEO




Nr. 2. (CON ESPRESSIONE.)
ff
rit.
mf
f
ritenuto
a tempo
ff
mf
f
Nr. 3. (CON GRAZIA.)
mf
f

Rodowód Księcia Karnawału



FOT. IMRE VON SANTHO

Dzisiejsza demokratyczna epoka niewiele sobie naogół robi z głów koronowanych, szczególnie gdy korona jest ze złotego papieru, a królowanie krótkie i efemeryczne. Księcia karnawału zdetronizował właściwie wiek XX-ty, odbierając mu jego iluzoryczne królestwo — królestwo pustoty, zabawy, romantycznych rojeń i ułud balowej nocy. Ludzie bawią się dziś przez cały rok, trzeźwo, rzeczowo i bez marzeń. Taniec przestał być rozrywką towarzyską, ułatwiającą porozumienie, czarem muzyki owierającą dworne zaloty, estetycznym popisem gracji, jedyną czasem okazją do szepnięcia w różowe uszko tancerki czułego słówka... Wkroczył dziś niemal w dziedzinę sportu — fizycznego treningu, a jeśli chce być erotyczny, czyni to jaskrawo, cynicznie i bez romantycznych nastrojów.

Królowanie lekkomyślnego, ale jakże uroczego księcia skończyło się więc cicho i bez wstrząsów, towarzyszących zazwyczaj detronizacji. Czasem gdzieś jeszcze sięgnie po dawne laury, pojawi się inkognito na jakiejś tłocznej reducie, zmiesza z rozbawionym tłumem na jakiejś „bataille de fleurs" na Jasnym Brzegu, lub ukryje się dyskretnie za kotarą swej loży na paryskim balu.

Dawniej, całkiem dawno, okres panowania księcia karnawału zaczynał się w dniu Bożego Narodzenia, 25 grudnia. Dlatego poświęcimy mu trochę uwagi w dzisiejszym numerze.

Nie sposób pisać o księciu, choćby zdetronizowanym, nie sięgnąwszy do jego świetnych genealogji. Kim zacz był? Kto go rodził? jakie są jego parantele? Skąd pochodzi jego nazwa?

Rodziła go niewątpliwie słoneczna Italja złotego okresu Renesansu, ojczyzna piękna, zbytku, muzyki, pieśni i wina. Niektórzy próbują ustalić starość jego rodu, nawiązując jego pochodzenie aż hen, do czasów starożytnych, do egipskich świątecznych obchodów ku czci Izydy lub Apisa, do greckich bachanalij i rzymskich saturnalij. Próbują wykazać jego związek z bizantyńskiemi igrzyskami, z pogańskiemi obchodami barbarzyńskich Gallów czy Germanów, a wkońcu z misterjami, procesjami i korowodami średniowiecza. Ale już samo brzmienie jego nazwiska i jego pochodzenie wskazuje, że można o nim mówić konkretnie dopiero od czasów włoskiego Odrodzenia. Świetny historyk kultury i obyczajów tego okresu, Burckhardt, tak pisze o pochodzeniu jego: „carrus navalis, wóz nazwany okrętem, odziedziczony po starożytności — właściwie okręt Izydy, który spuszczano na wody w dniu 5 marca, jako symbol otwierającej się na nowo żeglugi i używano przy rozmaitych uroczystościach, a jego nazwa złączyła się, zwłaszcza z zapustami, które stąd nazwano carnaval".

Większość obchodów i zabaw, które składały się na program karnawału, znaną już była dawniej: maskarady wprowadził na swoim dworze król francuski Karol VI już w XIV wieku; korowody masek i barwne pochody z muzyką wywodzą się niewątpliwie z uroczystych procesyj, np. procesji Bożego Ciała, które — szczególnie we Włoszech — odbywane były z przepychem i teatralnymi nieraz efektami i dla pospólstwa stanowiły w równej mierze obrzęd religijny co i widowisko.

Kościół nie potępiał zasadniczo karnawału, choć często gromić musiał rozwiązłość zabaw i wyuzdanie obyczajów. Nietylko jednak kościelne dekretalja walczyły z nadużyciami karnawałowemi, ale i władza świecka musiała ukrócać je często specjalnymi ustawami i przepisami, jakoże pod karnawałową maską lęgła się nieraz zbrodnia lub obraza moralności publicznej.



Scena balowa z połowy XIX w.: — Czy mogę panią „angażować" do walca?

Jak wielką wagę przypisywano w renesansie do instytucji karnawału świadczy fakt, że gdy pod wpływem św. Karola Boromeusza papież wydał rozporządzenie, że koniec tego okresu uciech wypadać będzie w środę popielcową, a nie jak dotąd było, w następującą po Popielcu niedzielę, skrócił go więc o kilka dni — Medjolan słał do Ojca św. specjalnych posłów, aby uprosić cofnięcie nakazu. Posłów tych zwano „ambasadorami karnawału". Widzimy więc, że lekkomyślny książę dzierżył już wtedy niebylejaką władzę, skoro miał własnych ambasadorów.

W XV stuleciu największym przepychem odznaczał się karnawał w Rzymie. Wyścigi przybierają tutaj najrozmaitszą postać; były więc wyścigi koni, bawołów, osłów, dalej ścigali się starcy, młodzi chłopcy, żydzi etc. Paweł II wydawał dla ludu wielkie uczty





Na lewo: Oto niezwykle pomysłowe figury karnawałowe, jakie rokrocznie, w różnych odmianach, spotykamy w pochodzie karnawałowym w Nicei. — Poniżej: Słynna „Promenade des Anglais" w Nicei, która wśród miast karnawałowych dzierży obecnie palmę pierwszeństwa.





Na lewo: Dostojny Plac św. Marka w Wenecji był świadkiem hucznych karnawałowych obchodów w niedalekiej jeszcze przeszłości.

Fot. Dr W. Szperber.

Poniżej: Tradycje weneckiego karnawału przechowały się po dziś dzień: pięknie ozdobione gondole, kierowane przez strojnych przewoźników, płyną na Canale Grande.

konów. Zakonnice brały udział w maskaradach i urządzały świetne przyjęcia w parlatorjach klasztornych. Każda dama uważała za punkt honoru prócz prawowitego i o ile możności bogatego małżonka, posiadać u swego boku nieodstępnego „cicisbeo", wytwornego i pełnego galanterji „cavaliere servante", który towarzyszył jej na zabawach i widowiskach. Co wieczór niemal plac św. Marka rozbrzmiewał muzyką i jarzył się światłami, a ukwiecone gondole przemykały się po cichych wodach kanałów, wioząc czułe pary, przybrane w jedwabie i brokaty. Piękne Wenecjanki uwodził najsławniejszy konkurent Don Juana — kawaler Casanova de Seingalt, a słynne kurtyzany gromadziły naokoło siebie kwiat weneckiej młodzieży.



przed oknami Palazzo Venezia, w którym mieszkał. Igrzyska na Piazza Navona odznaczały się wspaniałym, wojowniczym charakterem; widziano tam walki rycerzy na koniu i parady uzbrojonej milicji miejskiej. (Burckhardt). Maskarady trwały kilka miesięcy, a udział brały w nich wszystkie sfery. Za pontyfikatu Innocentego VIII kardynałowie posyłali sobie wzajemnie rydwany, napełnione wspaniale przebranemi maskami, „bufonami" i śpiewakami, deklamującymi skandaliczne nieraz wiersze. Tu również weszły w użycie wspaniałe pochody z pochodniami.

Florencja Medyceuszów nie pozostawała w tyle poza innemi miastami włoskiemi: zamiłowanie do zbytku i wyuzdanie w zabawie łączyło się tu z wysokim ich poziomem artystycznym. Na fantastycznych wozach przeciągały ulicami grupy alegoryczne i mitologiczne: 3 parki, 4 pory roku, Bachus i Ariadna, Helena z Parysem itp. Korowodom towarzyszyły śpiewy i deklamacje wierszy które pisywał również sam Wawrzyniec Wspaniały. Wiele z takich utworów, których natchnieniem była płocha Muza Karnawału, przeszło do literatury.

W renesansowej Italji głównymi stolicami karnawału były Wenecja, Florencja i Rzym. O karnawale weneckim wiemy najwięcej, jako że utrwaliło go na freskach, obrazach i rycinach szereg malarzy renesansu i baroku. Szczególnie Pietro Longhi i Guardi dają nam pojęcie o przepychu, malowniczości i artystycznej oprawie tych wspaniałych uroczystości. Na placu św. Marka na Ridotto, na Piazeccie odbywały się bale maskowe, pochody zw. trionfi, turnieje i widowiska alegoryczno-mitologiczne. Na Wielkim Kanale korowody iluminowanych i girlandami kwiatów przybranych gondol wiły się jak barwna wstęga, napełniając muzyką i śmiechem ciche zazwyczaj miasto marmurów i pałaców. W 18 w. Wenecja obchodziła karnawał przez całych 6 miesięcy. Szał zabawy ogarnął obywateli tego miasta, którego dawna świetność konała już wśród znamion upadku i rozprzężenia. Wszyscy chodzili w maskach· nawet nuncjusz i przeorowie za-



Karnawałowe „toilettes d'apparat" z połowy ub. wieku odznaczały się niezwykłem bogactwem i... niepraktycznością („Journal des Demoiselles", Paryż).

Poniżej: Jeden z pomysłowszych wozów, jaki ukazał się w nicejskim pochodzie karnawałowym w ub. roku.



Obok Włoch, prymat w przepychu karnawałowym obchodów dzierżyła Francja, szczególnie w 18 w., gdy dwór — zamiłowany w widowiskach i zabawach, nie szczędzący na tego rodzaju imprezy funduszów — dawał asumpt do nadmiernego rozbudzenia wyrafinowanego epikureizmu. Piękny hulaka, jakim był regent Francji ks. Orleanu, zapoczątkował w 1715 wielkie bale maskowe w Operze paryskiej, które odbywały się odtąd 3 razy w tygodniu od św. Marcina 11-go listopada aż po koniec karnawału. — Widzimy, że z Adwentu nikt sobie podówczas nie robił przeszkody! Po wstąpieniu na tron Ludwika XV żądza zabaw i rozwiązłość sfer dworskich wprowadziły w pałac Wersalski atmosferę nieustającego festynu — który dosiągnął szczytu, gdy królować w nim poczęła piękna i pusta Maria-Antoinetta.

Groza rewolucji przerwała na krótko ten bachiczny nastrój wyższych sfer dworu i arystokracji francuskiej. Karnawał w Paryżu cesarskim obchodzono hucznie i strojnie, jedynie charakter jego — a szczególniej maskarad — przybrał odmienne piętno. Zamiast jedwabnych fraków i pudrowanych peruk, zamiast antycznych alegoryj, sentymentalnych pasterek, jakie znamy z „Fêtes galantes" — „Bals masqués" i „Podróży na Cyterę" Watteau, po salonach rzęsiście oświetlonych Tiulerji przebijały się mundury, a maskarady wyglądały jak rewje wojskowe.

Karnawał paryski odtąd dzierżył prymat w Europie. Wskrzeszona została tradycja balów w Operze, prócz eleganckich balów w arystokracji i bogatem mieszczaństwie odbywały się charakterystyczne zabawy i maskarady urządzane przez młodzież akademicką i artystów. Równolegle do Paryża bawił się elegancki świat międzynarodowy na Riwierze, gdzie specjalnie Nicea zasłynęła pięknymi pochodami masek i bitwami kwiatowemi. Prócz właściwego okresu karnawału tradycja francuska nakazywała urządzanie specjalnych obchodów i korowodów masek w t. zw. Mi-carême, czyli Śródpościu.

Dokończenie na str. 31-ej.



Od Sylwestra

BALE I MASKARADY

Wiele mówi się o tem, że karnawał stracił kompletnie rację bytu, że bale się przeżyły, że nikt dziś nie ma ochoty na maskarady i reduty, że dancingi pokrywają w zupełności zapotrzebowanie na zabawę nowoczesnych ludzi. Tak nie jest i na udowodnienie tego nie brak argumentów. Dancing — to łatwa, stosunkowo tania, demokratyczna rozrywka, pozwalająca na zmianę nastroju bez wielkich wydatków, przygotowań i inwestycyj tualetowych. Ale nie jest to zupełnie zabawa t o w a r z y s k a we właściwem tego słowa znaczeniu. Na dancing przychodzi się we dwójkę lub w małem kółku znajomych i z nimi wyłącznie tańczy się i rozmawia. Na balach, rautach i większych przyjęciach jedną z niewątpliwych atrakcyj jest właśnie możność spotykania większej ilości ludzi, nawiązywanie znajomości nowych i odnawianie dawnych. Przytem dancing nigdy nie daje tak pełnego estetycznego obrazu, jak sala balowa wypełniona doborową, strojną publicznością, nie stwarza tak efektownych ram dla kobiet, ich tualet i biżuterji. W dancingu, przy przygaszonych światłach i w chronicznie panującym tłoku „wszystkie koty są czarne".

Toteż ludzie przywiązani do pewnych form towarzyskiego życia, zamiłowani w estetycznych efektach, zawsze będą uczęszczali na eleganckie przyjęcia i bale, a piękne panie nie wyrzekną się łatwo tej niezastąpionej areny towarzyskich występów. We wszystkich stolicach Europy sezon zimowy, otwierający się „en plein" wieczorem sylwestrowym — uświetnia cały szereg eleganckich balów, maskarad i rautów, gromadzących najlepsze, względnie (i przedewszystkiem) najbogatsze sfery danego środowiska. Nawet w okresach, kiedy wszyscy zgodnie przyznają, że „czasy są ciężkie", ludzie zawsze jednak znajdują środki i ochotę do zabawy.

Tegoroczny sezon karnawałowych imprez i zabaw zapowiada się w niespokojnej, zwaśnionej i jutra niepewnej Europie wyjątkowo okazale. Paryż — ta stolica zbytku, elegancji i uciech światowych — lansuje świetną, strojną modę wieczorową, która przyczyni się niemało do upiększenia wyglądu balowych sal. Mistrze mody zdają się wytężać w tym kierunku całą swą pomysłowość i fantazję: jeden model prześciga drugi, rafinowanie linji akcesorjów, subtelność zestawień barw i materjałów, rozrzutność w doborze najdroższych tkanin, piór i futer — oto co nas w tej modzie uderza.

Jakże daleką jest ona dziś od prostoty i „zglajchszaltowania" powojennych lat! Każda wielka „maison" paryska ambicjonuje w kierunku stworzenia własnego, indywidualnego stylu, który cechuje każdą kreację niby podpis jej twórcy: Schiaparelli to ekscentryczność i świadomie przerysowana stylizacja, Vionnet to rzeźbiarska czystość linji i wyrafinowany w swej prostocie rzut draperji. Chanel to najbardziej „paryski" popis





Powyżej od lewej: Efektowna suknia balowa z crêpe satin koloru platyny, ozdobiona falbankami. — Dwie tualety, charakterystyczne dla tegorocznej mody: wąska, drapowana z matowego jedwabiu i druga szeroka, wykonana niemal w całości z marszczonych koronek.

Fot. Georges Saad.



Na lewo: Stylowa kreacja, ozdobiona kwiatami i plisami z czarnych wstążek.

RYS. EWA LEO







Od lewej: Hrabina de Moustier w kostjumie, wzorowanym na tualetach elegantek z czasów Dyrektorjatu. — A oto strój „królowej celofanu", wykorzystujący w pełni efekty i możliwości nowego materjału. — Stylizowany kostjum redutowy, oparty na średniowiecznych motywach, z oryginalnem przybraniem głowy. Zdjęcia: d'Ora — Paryż.

Poniżej: Przy sylwestrowym stole wre wesoła i beztroska zabawa... Fot. Polski Tobis.



subtelnego wdzięku, to uosobienie „feminizacji" wieczorowej sylwetki itd.

Kobiety na sali balowej wyglądają dziś wszystkie jak królowe. Składają się na tę królewskość aparycji długie, rozrzutnie szerokie „robe'y" z lśniących brokatów, lam, wspaniałej mory i szeleszczącej majestatycznie tafty — strojne przybrania głowy z piór, kwiatów, koronek i wstążek, iście królewskie płaszcze i cape'y z najdroższych futer, ciężkich aksamitów i lam, bogata, ogromnie efektowna nowoczesna biżuterja i liczne akcesorja, jak rękawiczki, olbrzymie wachlarze, kokieteryjne mufki z piór, kwiatów lub tiulu, oraz prześliczne torebki wieczorowe, istne cacka smaku i elegancji.

Charakterystyczną cechą tej wieczorowej mody jest ucieczka przed wszelką jednostajnością i szablonem: każda kobieta ubiera się inaczej, zgodnie ze swemi zamiłowaniami i typem urody, każda stara się być indywidualną w doborze szczegółów, stanowiących dziś najważniejszy element w całości. Najprostsza czarna suknia nabiera swoistego wyrazu i stylu, gdy uzupełnimy ją strojną fryzurą w wysoko podczesane loki, pospięte kwiatami — których pęki zdobić będą również szeroko marszczoną spódnicę, bransoletkę z czarnej aksamitki i mały woreczek z czarnego jedwabiu lub zamszu. Jakże silnie podkreślimy szlachetną, antyczną linję białej, drapowanej tualety z białego „peau d'ange", gdy włożymy do niej złote sandałki, przypominające greckie koturny, a włosy przykryjemy złotą siatką, przetykaną perłami. Staranie o doskonałe sharmonizowanie całości stało się w tym roku naczelną zasadą mody balowej.

To samo wyszukanie i dążenie do oryginalności odnajdujemy w strojach maskaradowych, będących najwdzięczniejszem polem do wykazania pomysłowości i poczucia stylu.

Lady Like.





PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

BARSZCZ NA ROSOLE podany w filiżankach po wesoło przebytej — powiedzmy otwarcie przehulanej nocy — wywołuje entuzjazm i uznanie dla pani domu, — jakiego nie wywoła najwykwintniejsze danie. Silny aromatyczny barszczyk, posila i odświeża, przywołuje do porządku zwichnięty częstymi kieliszkami żołądek — słowem — działa zbawiennie na nadwątlone siły i humory.

Barszcz należy kisić w domu, ma się wtedy pewność, że nie będzie w nim żadnych obcych domieszek. Z 1 kg buraków otrzymać można 1 i pół litra doskonałego gęstego barszczu. Na 4—5 dni przed zapotrzebowaniem barszczu kraje się ołupane i szybko wymyte buraki, na cienkie płatki, zesypuje się do kamiennego naczynia, zalewa letnią wodą tak, aby były dobrze wodą przykryte, wkłada kawałek kwaśnego chleba, i stawia w ciepłem miejscu. Po trzech dniach należy barszcz przemieszać drewnianą łyżką i zostawić dalej w cieple, lekko tylko przykryty. Ukiszony barszcz odlewa się do flaszki, pozostałe buraki zalać można ponownie. Drugi barszcz będzie może mniej gęsty, ale jeszcze dość silny i smaczny zmięszany z pierwszym. Mocny rosół potrzebny do barszczu gotuje się z kawałka mięsa wołowego i wieprzowego, drobno porąbanych kości wołowych, nieodzownej „rury" tj. kości szpikowej, oraz włoszczyzny, suchego grzyba i paru ząbków czosnku. Ugotowany rosół przestudza się i zbiera z niego tłuszcz, który w barszczu jest zbyteczny, poczem miesza się barszcz raz tylko zagotowany z taką samą ilością rosołu, kontroluje czy dość słony, ewent. ostrość złagodzić można dodając łyżeczkę cukru, podgrzewa silnie lecz nie gotuje więcej, i nalewa do filiżanek. Szpik wytrząśnięty ostrożnie z „rury" kraje się na cienkie plasterki, które się soli i nakłada na malutkie krążki bułki poprzednio opieczone nad płomieniem, podaje się je osobno dla amatorów.

COMBER SARNI PO ANGIELSKU. Skruszały przez leżenie, lecz nie bajcowany comber, wymywa się, obiera z błon i żył, smaruje oliwą i sokiem cytrynowym, okłada krążkami cebuli i jarzyn i odstawia przyciśnięty ciężarkiem na dwa dni w chłodne miejsce. Tuż przed pieczeniem, odrzuca się jarzyny, obsusza pieczeń ściereczką, szpikuje gęsto słoninką, posypuje solą, układa na brytwance, polewa masłem i piecze w niezbyt gorącym piecyku przez 2 godziny, polewając pilnie masłem aby nie wysechł. Comber podaje się pokrajany w skośne plastry na kości grzbietowej i polany paru łyżkami sosu z pod pieczeni. Resztę sosu podprawia się łyżką zasmażki i łyżką galaretki porzeczkowej lub czerwonego wina, zaostrza pieprzem albo zaprawą angielską Kabul, zagotowuje i podaje osobno w sojerce. Jako dodatek makaron włoski i brusznice.

PRZYSTAWKA Z RESZTEK MIĘSA. Kawałek jakiejkolwiek pieczeni przemiela się dwa razy, mięsza z łyżką śmietany, solą, pieprzem i łyżeczką soku cytrynowego. Dobrze wymięszany farsz nakłada się na grzanki z chleba i zapieka przez 10 minut. Na każdą grzankę ułożoną na półmisku, kładzie się sadzone jajko i polewa rumianem masłem z bułeczką.

PĄCZKI Z SERA. 2 dkg drożdży rozpuszcza się w małej filiżance letniego mleka wraz z kostką cukru, dodaje łyżkę mąki, mięsza i stawia w ciepłe miejsce. 15 dkg dobrze odciśniętego twarogu, uciera się z 4 dkg masła, 4 dkg cukru i dwoma jajami, poczem dodaje się podrosłe w międzyczasie drożdże, a raczej rozczyn i 25 dkg sypkiej ogrzanej mąki oraz troszkę soli. Ciasto wybija się przez pół godziny, poczem wykłada się je na stolnicę, wałkuje na palec grubo i wykrawa ostrym wykrawaczem okrągłe placuszki, które muszą przez godzinę róść w cieple, poczem się je smaży na mięszanym tłuszczu jak zwykłe pączki. W trakcie smażenia ciastka te silnie narastają, tworząc wewnątrz puste miejsce, które nakrojone z boku wypełnia się po usmażeniu konfiturami. Ciastka te są doskonałe tak ciepłe z konfiturą, jak też zimne napełnione bitą śmietaną.

PONCZ Z OWOCAMI. Do pół litra wina owocowego wciska się sok z dwóch pomarańcz, dodaje 20 dkg cukru w kawałkach, otartych o skórkę pomarańczową. 4—5 bananów ołupuje się, kraje w talarki i dorzuca do wina, poczem się całą mieszaninę odstawia na kilka godzin. Tuż przed podaniem, dolewa się 1/4 litra rumu i 1/2 litra wina reńskiego lub innego białego wytrawnego wina, miesza i o ile smak tego wymaga dosładza cukrem, poczem wstawia się poncz na godzinę do lodu.

PONCZ WIEDEŃSKI mięsza się w ten sposób: Z syropu nagotowanego z pół litra wody i pół kg cukru nalewa się do szklaneczki: kieliszek od wina syropu, tyleż rumu, likierowy kieliszek Curacao albo Vermouth, resztę szklaneczki wypełnia gorąca gotowana woda.

LEGOMINA KASZTANOWA. 50 dkg kasztanów ugotowanych w wodzie, obiera się z łupek, zalewa 1/4 litrem śmietanki i rozgotowuje, mieszając na gęstą masę, którą się słodzi wedle upodobania cukrem z wanilją. Gęstą tę masę przeciska się maszynką od ziemniaków na środek półmiska, posypuje siekanemi zielonemi pistacjami, otacza sztywną pianką ubitą z kremówki i stawia aż do podania na lodzie.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Zaokrąglony kształt chochli wydawał się nam skończoną doskonałością, jakkolwiek nigdy nie udało się nam przy jej pomocy wykorzystać np. całej zawartości wazy z zupą. Mała zmiana, dokonana przez spłaszczenie boku chochli, ułatwia zadanie do tego stopnia, że można każdą wazę wypróżnić przy jej pomocy do samego dna.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 1 — **Styczeń** — Dni 31
Niedziela **1** Nowy Rok 1939	 Barszcz czysty z pasztecikami. Przystawka na grzankach. Comber sarni z brusznicami. Pączki serowe z bitą śmietaną. Kolacja: Faszerowana głowa wieprzowa z majonezową sałatką.
Poniedziałek **2** Makarego	Kleik z kaszki owsianej. Rizotto z szynką. Potrawka cielęca z kluseczkami. Szarlotka z czerstwej strucli i jabłek. Kolacja: Jaja na szynce.
Wtorek **3** Genowefy	Rosół z kaszką. Sztuka mięsa z sosem musztardowym. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście. Naleśniki z konfiturami. Kolacja: Budyń z płucek cielęcych.
Środa **4** Tytusa, Eugen.	Zupa ryżowa. Civet z zająca z kluseczkami. Rozbratle prędkie z smażonymi ziemniaczkami. Budyń orzechowy. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku.
Czwartek **5** Telesfora m.	Zupa panade z bułek. Kapuśniaczki lub strudel z kapustą. Zając po polsku z makaronem. Sałatka owocowa z keksami. Kolacja: Miseczki kiełbasiane z jajecznicą.
Piątek **6** Trzech Król	Zupa z drobiu. Brukselka, salsefia i bulwy z masłem. Kotlety z sandacza lub cielęce z sałatą. Pączki, chrust. Kolacja: Pasztet z dziczyzny. Tort Savarin.
Sobota **7** Walentego	Zupa grochowa z grzankami. Ryjek wieprzowy z chrzanem. Zraziki cielęce w pomidorach z ryżem. Placek z serem. Kolacja: Kruszka cielęce smażone. 

HOCKI-KLOCKI

FORMY TOWARZYSKIE.



— Ten pan Brown jest jednak niezwykle uprzejmy, ma maniery zupełnie kontynentalne! („Esquire").

Rozwiązanie z Nru 52-go.

„POKRZYWA", PODEJRZANY TYP.

Gdzie był „Pokrzywy" bilet powrotny do Miłosny?

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SPADEK PI.

— Gdy będę mieć 21 lat — rzekła do mnie Pi, córka prof. Ułamka — dostanę duży spadek.

— ? — podniosłem pytająco brwi.

— A tak. Mój dziadek Licznik pozostawił dziwny testament dla mnie i dla siostry. Każdego roku jego adwokat oddaje do banku na nasze imiona pewną sumę, skalkulowaną na następujących zasadach: podnosi ilość moich lat do sześcianu i to samo robi z latami mej siostry. Następnie odejmuje drugi sześcian od pierwszego i różnica ta wskazuje ilość złotych, składanych do banku.

— Widzisz — mówiła dalej Pi, która jest świetną matematyczką — suma składana do banku zwiększa się z każdym rokiem. I tak np. tego roku dostałyśmy 1380 zł. więcej, niż w roku, kiedy kupiłeś sobie auto.

Ile lat miała siostra Pi, gdy kupiłem auto?

W SZKOLE.

Dr. Utopista zaangażował pięciu nowych nauczycieli do swej szkoły: p. Botanikę, p. Geometrję, p. Francuskiego, p. Historję i p. Matematykę. Każdy z nich miał uczyć dwóch przedmiotów, które odpowiadają nazwisku dwu pozostałych nauczycieli. Żaden jednak z nich nie uczył przedmiotu, który-by odpowiadał jego własnemu nazwisku.

P. Historja ciągle ma nieporozumienia z dwoma pedagogami, którzy wykładają botanikę i nie znosi geometrji. P. Matematyka jest ożeniony z siostrą jednego z wykładających geometrję, a jego własna siostra wyszła zamąż za drugiego. P. Botanika nie zna francuskiego, a p. Francuski nie interesuje się matematyką. P. Geometrja spędził wakacje z dwoma nauczycielami historji. P. Historja i p. Matematyka uczą jednego i tego samego przedmiotu. Francuskiego nie uczy nauczyciel, którego nazwisko odpowiada przedmiotowi nauczanemu przez p. Francuskiego. Pewne lekcje pp. Geometrji i Francuskiego odbywają się w tych samych godzinach.

Jakie są dwa przedmioty, które uczy każdy z nauczycieli?

NAWYKI.



Zapalony gimnastyk-chirurg podczas operacji. („Esquire").

PIŁKA I CZEKOLADKA.

Staś kupił piłkę i czekoladkę za 1 zł. 10 gr. Jeżeli piłka kosztuje o 1 zł. więcej od czekoladki, to ile Staś zapłacił za czekoladkę?

ŚMIETANKA I MLEKO.

— Zosiu, co jest cięższe: śmietanka, czy mleko? — zapytał Jaś. Zosia długo myślała, ale mimo to nie mogła dać braciszkowi żadnej odpowiedzi.

— A co odpowiedzą nasi Czytelnicy?

Dokończenie ze str. 7-ej.

czas gdy na inne państwa europejskie przypadło może 20%. Reszta to były „zbiory ze szczególnego punktu widzenia" — a 1—2% to znaczki krajów pozaeuropejskich — które nie cieszą się u nas żadnem zainteresowaniem.

Chociaż nie znalazł się w Warszawie żaden eksponat z zagranicy, to przecież wystawa była i tak imprezą ze wszech miar udaną tak, że na pewne usterki organizacyjne można było patrzeć bardzo pobłażliwem okiem.

Bloki wydane po 50.000 sztuk narazie nie zwyżkowały, ale za kilka lat napewno dojdą do wartości 12 zł. za serję — chyba, że jak wspomnieliśmy wyżej, co roku ukaże się tyle nowych bloków — że braknie monety na nabywanie starych. Do tematu tego powrócimy w nast. nrze.

W. H.

Dokończenie ze str. 18-tej.

Mimo więc, że nie można uważać, aby kiedykolwiek zastąpienie normalnej naszej żywności tymi odpryskami dalekich gwiazd stało się możliwem, to jednak nie ulega wątpliwości, że ten deszcz kosmicznych cząsteczek wpływa nieustannie na wszystkie komórki naszego organizmu, co nie jest bez znaczenia dla przyszłego rozwoju ludzkości. Przecież promieniami Roentgena zdołano wytworzyć różne odmiany roślin po stosunkowo krótkiem naświetlaniu ich nasion. Zauważono też, że np. kolor płatków kwiatowych zmieniał się i otrzymywano zgoła dziwaczne a niespodziewane zabarwienia. Tak samo i inne własności dziedziczne wrażliwe są na naświetlania. Zmienia się więc tak zwana masa dziedziczna różnych istot. Nie ma więc w tem nic szczególnie dziwnego, jeśli się powiada, że pod wpływem promieniowania kosmicznego itd. organizm nabywa pewne określone cechy. Kolor włosów lub oczu może być zależny od promieni kosmicznych.

W miarę dalszego rozwoju badań nad tymi promieniami napewno niejedna podobna zagadka zostanie wyjaśniona, a pojawi się niejedna nowa.

Inż. J. A.

Dokończenie z str. 27-ej

W Polsce karnawał miał też ustaloną sławę. W 18 w. Warszawa, zapatrzona w zwyczaje paryskie, bawiła się „po francusku". W pałacu łazienkowskim odbywały się teatry, bale i maskarady, które nadawały ton towarzyskiemu życiu stolicy.

Prowincja kultywowała jednak staropolskie obyczaje karnawałowe, w których kuligi zastępowały zagraniczne towarzyskie imprezy, a mazury i oberki górowały nad francuskim menuetem i wiedeńskim walcem. Bawiono się szumnie i hucznie, szczególnie w t. zw. Zapusty, a „biały mazur" naprawdę odbywał się o białym świcie. Ziemianie zjeżdżali na koniec karnawału, albo i na cały jego okres do stolicy, mniej bogaci do pobliskich miast czy nawet miasteczek, wynajmowali apartament i urządzali bale i przyjęcia. Główną osią karnawału stanowił „targ małżeński": z całej okolicy zwożono panny i epuzerów, i w koronkowe pelerynki i futrzane, naftaliną woniejące etole przystrojone mamy, śledziły z zapartym tchem sukcesy swych córek w ich wytrwałej ku ołtarzowi wędrówce, która z konieczności prowadziła przez balowe sale. Koniec karnawału uświetniały często uroczyste rauty i bale zaręczynowe, które stanowiły „clou" udanego karnawału.

Zwolna tradycje karnawałowe upadały i w Polsce, jak zresztą we wszystkich krajach Europy. Wojna, a po niej ekonomiczne kryzysy zatamowały wydatnie zabawowy rozpęd. Minęła też moda prywatnych przyjęć, balów i maskarad, powojenne życie towarzyskie stanęło pod znakiem oszczędności i zdemokratyzowania sposobów bawienia się. Młodzież — która dzięki większej swobodzie obyczajów, sportom, studjom uniwersyteckim i pracy zawodowej miała mnóstwo okazyj do zbliżania się i spotykania, nie czekała już na karnawał dla załatwienia swych spraw sercowych i matrymonjalnych.

Karnawał poprostu się przeżył — przeszedł poważną metamorfozę. Bale i maskarady urządzane dziś w okresie jego trwania przyjęły inny charakter i nie są już tak liczne jak dawniej. **Ewa Mieroszewska.**

O tak! — to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. W Teatrze Małym odbyła się premjera nowej sztuki Antoniego Cwojdzińskiego, autora „Freuda teorji snów"— pt. **„Temperamenty"**. Tym razem Cwojdziński wziął na swój warsztat teatralny teorję Kretschmera. Kretschmer zwrócił uwagę na związek między budową organizmu a charakterem jednostki, jej nastrojem, psychika. Cwojdziński postanowił zademonstrować tę tezę w formie komedjowej. Do sukcesu sztuki przyczynili się również wykonawcy „Temperamentów: wyborny Kurnakowicz oraz Ziembiński, który reżyserował sztukę. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Nakoneczną, Lidję Wysocką, Borowską i Buczyńską.

POZNAŃ. W Teatrze Polskim ujrzeliśmy **„Teklę"** Jerzego Kossowskiego. Po raz pierwszy wystawił ją teatr katowicki w ubiegłym roku, następnie grana była w Wilnie. Rolę tytułową, wiejskiej dziewczyny Tekli, zagrała z przekonaniem p. Wieczorkowska. Bardzo dobry był typ Dziadka w wykonaniu p. Dzwonkowskiego, podobał się również p. Dytrych jako ojciec i Szalawski (Józek). Trzeba jeszcze wspomnieć o rolach Matki i Wikty (pp. Podgórska i Baronówna).

J.

NOWE KSIĄŻKI

J. Dąbrowski i T. Kwiatkowski: „Jeden trudny rok". (Rój). Pełna rozmachu i „krzepy" opowieść o życiu dwóch harcerskich drużyn. Akcja obfitująca w emocjonujące wydarzenia, trzyma czytelnika w napięciu. W zakończeniu powieści powiada jeden z bohaterów „Jednego trudnego roku": „Wierzymy, że w tym roku tak samo dalej pojedziemy w piękną podróż naszych myśli i marzeń. Znowu ławą ruszym i na drogi i na zabawę i pracę... Pomożemy innym, pomożemy w nauce i w życiu; zbudujemy samych siebie".

A. Castell: „Spotkałam bestję". W przekładzie M. Zawadzkiej ukazała się powieść współczesnego niemieckiego autora, odznaczająca się żywym i urozmaiconym nurtem opowiadania. Treścią jej są dzieje ojca i córki, zmuszonych trudnemi warunkami do chwytania się różnych zajęć. Ojciec zaplątał się w trudną do rozwiklania aferę finansową, lecz stara się ukryć prawdziwy stan rzeczy przed córką. Ale Rosy niebawem dowie się prawdy. Nie zachwieje to jej uczuciem dla lekkomyślnego ojca, przeciwnie zdobędzie się dla poratowania stanu jego finansów, ochronę jego czci, na niezwykłe poświęcenie. Ostatecznie rzecz skończy się pomyślnie: Rosy wyjdzie za kochającego ją Boromeusza, ojciec wyzwoli się z kłopotów materjalnych.

J.

Alicja Iwańska: „Wielokąty". Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa. Debjutowy — jak się wydaje — tomik wierszy Alicji Iwańskiej nie jest tylko książeczką jeszcze jedną wśród licznych wydawnictw poezyj, którąby można jedynie traktować jako jeszcze jedną pozycję bibljograficzną w literaturze wierszem. Są to bowiem wiersze oryginalne, pełne treści i poszukiwań odpowiedzi na najróżniejsze pytania, związane z życiem i zagadnieniami bytu. Właśnie ten przerost treści jest zresztą równocześnie ich wadą. Wiersze te bowiem są przepełnione różnymi zwrotami i słowami właściwie niepoetyckiemi, a autorka pragnąc dać wyraz swego nastawienia, zapomina niejednokrotnie, że poezja ma pewne nieśmiertelne kanony, formy i słownictwa, od których nie może całkowicie odchodzić bez narażenia się na utracenie dźwięku i polotu, koniecznego wierszom. Niemniej jednak w tym oryginalnym tomiku znajdujemy i formalnie piękne wiersze, np. ciekawy utwór „Do obłąkańca":

— Tak ci kwietniało latem,
tak śnieżyło zimą,
żeś zapomniał o sensach
twardych ludzkich imion.

— Plącząc się, zabłąkując
wśród mgławistych sklepień
powiedz nam, czy spamiętać
czy zapomnieć lepiej?

Andrzej Sieczkowski: „Niebo przez liście". Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa. I ten tomik jest zapewne debjutem, stąd wiele w nim jeszcze „burzy życia", a mniej opanowania poetyckiego, co jednak nie przeszkadza, że młody poeta potrafi w wielu utworach, pięknie opracowanych, zdobyć się nawet na spokojny nastrój, a w niektórych wierszach miłosnych nawet na echa mickiewiczowskich sonetów — o czem sam zresztą pisze. Tomik nie jest jednak jednolity, rozrzucony na różne działy, przerywa wciąż inaczej zaczynane obrazy wrażeń poetyckich. Ale dużo tu prawdziwie dobrych wierszy. Bodaj, że najwłaściwszą struną poety jest erotyk, gdzie daje drobiazgi, ale bardzo wdzięczne, jak n. p.:

Mijamy drzewa sunąc saniami
i drzewa giną,
sunąc przez życie mijamy się
z dniami,
dziewczyno.

Jeno że drzewa martwym szeregiem
płyną i płyną,
a dni się w sercu mocnym znaczą ściegiem.
dziewczyno.

Mylne byłoby jednak mniemanie o pasieźmie poety, jakieby można wysnuć na podstawie przytoczonego wierszyka. Sieczkowski dużo ma w sobie nowoczesności, odczuwa obecną chwilę, obrazując ją nawet w kilku wierszach i zapewne znajduje się obecnie na drodze poszukiwania jakiegoś najwłaściwszego sobie tonu. O ile go znajdzie i potrafi pójść za swym wyrazem, da niewątpliwie niejedną jeszcze piękną pozycję naszej poezji.

W. Z.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 1 stycznia.

12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa.
13.00 Wyjątki z Pism Józefa Piłsudskiego.
13.05 **Międzynarod. audycja noworoczna.**
16.30 „Żółta szlafmyca albo kolęda na Nowy Rok" — komedjo-opera Zabłockiego z Wilna.
18.10 Przemówienie noworoczne Dyrektora Nacz. Polsk. Radja, min. Konrada Libickiego.
19.00 Noworoczna audycja sport.
21.20 Muzyka taneczna.
21.40 „Telegramy noworoczne" — wesoła audycja z Katowic.

Poniedziałek, 2 stycznia.

15.30 Muz. obiadowa z Katowic.
16.35 Współczesna muzyka angielska — koncert z Łodzi.
18.30 Koncert rozrywkowy z Poznania.
21.15 Recital fortepianowy Zofji Kerntopf-Romaszkowej.
22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R.

Wtorek, 3 stycznia.

15.30 Muz. obiadowa z Poznania.
16.30 Polska muzyka fortepianowa w wyk. I. Kurpisz-Stefanowej.
17.05 Recital na viola da gamba F. Macalika.
19.00 Z filmów i rewji — koncert rozrywkowy.
21.15 „Manfred", poemat dramatyczny Byrona, muz. Schumanna.

Środa, 4 stycznia.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.35 Recital wiolonczelowy w wykonaniu Walerjana Deca.
17.15 Koncert solistów.
19.00 „Pociąg w nieznane" — audycja muzyczna.
21.00 „Opowieść o Chopinie: Mazurki".
22.00 Folklor różnych narodów: Grecja — aud. muzyczna.

Czwartek, 5 stycznia.

15.30 Muzyka obiadowa.
17.00 Z teki lwowskich kompozytorów — koncert.
19.00 Koncert rozrywkowy z Krakowa.
21.30 Teatr Wyobraźni: „Znakomity Gaudissart" — opowiadanie Honorjusza Balzaca
22.02 Muzyka taneczna.

Piątek, 6 stycznia.

10.00 Transm. nabożeństwa z Katedry Ormiańsk. we Lwowie
12.03 Poranek symfoniczny z Katowic.
13.15 Muzyka obiadowa z Wilna
17.30 „Gejsza", operetka Jonesa
22.00 „Jak się bawić, to się bawić" — wesoła audycja.
22.30 Muzyka taneczna w wyk Małej Orkiestry P. R.

Sobota, 7 stycznia.

15.30 Muz. obiadowa z Poznania
16.35 Ludwik v. Beethoven: Oktet op. 103.
17.20 Koncert solistów.
19.15 Koncert rozrywkowy (z Katowic).
21.00 „Przy sobocie — po robocie — wielki koncert rozrywkowy, transmisja z sali YMCA.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1